Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty drugi.

KOMEDJANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

......wszyscy na teatrze...
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi...
FREDRO. Przyjaciele.

Totus mundus agit histrioniam....
PLAUTUS.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom II.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Oderwijmy się na chwilę od Denderów, a przenieśmy się z Wacławem na tenże świat komedjantów, ale w inną jego stronę. Wyjechał nasz sierota z Denderowa, spodziewając się zastać w mieście opiekuna swego, hrabiego; jakoż zjechali się tutaj, ale hrabia tak był zajęty zagrożonym kluczem swoim, konfiskatą i wszystkiemi jej dla siebie następstwy, że ledwie kilką słowami przywitawszy Wacława, obojętnie go odprawił.

— Mówiłem już o tobie kilku znajomym, masz w ręku sposób do życia, masz niezaprzeczony talent, idź teraz i pracuj. Życzę ci jednak najszczęśliwszego pokierowania.

Wacław wynurzył mu swoję wdzięczność gorąco, prawie ze łzami, ale wyrazy jego dziwne jakoś na hrabi zrobiły wrażenie; zdawały się go kąsać jak wymówki, poczerwieniał, pobladł, obłąkanem okiem powiódł dokoła i przerwał szybko:

— Dość tego! proszę, dość! niech ci Pan Bóg szczęści. A oto — dodał — na początek grosza trochę. Żegnam cię panie Wacławie, żegnam!...

I tak kilka razy powtórzył dobitnie to *żegnam*, że młody człowiek, mimo rozczulenia, domyślił się wreszcie, iż chce

się go pozbyć, i z nieoschłemi łzami, z niepokojem w duszy, oddalił się. Ostatnie węzły, co go z kimkolwiek jeszcze łączyły na świecie, pękały; pozostał teraz sam; najzupełniej sam; a myśl że nie było istoty, coby się już nim zajmowała, któraby go szukała okiem i przypomnieniem, coby go aniołom stróżom cichą polecała modlitwą, nowe łzy wycisnęła mu z oczu. Poszedł ulicą nie wiedząc dokąd, i nieprzytomny zbliżył się tak aż do brzegów pięknej rzeki, która pod Żytkowem płynie.

Tu usiadł znużony, gotując się do nowego życia, chcąc plan jego nakreślić, a nie umiejąc się zebrać jeszcze na krew zimną i dłuższy ciąg myśli. Siedział tak nieruchomie, patrząc na wodę płynącą, na otaczające ją urwiska skaliste, dumając urywanemi marzeniami, nie śmiejąc spojrzeć na jutro, nie wiedząc co zrobić z sobą, i późnym dopiero wieczorem powrócił do skromnego mieszkania, które sobie był najął na oddalonej i cichej uliczce. Trochę zapasu wystarczało mu ledwie na najęcie fortepianu, tuzinkowego klepadła, i wyżycie ubogie do czasu, w którym o swych siłach stanąć się spodziewał. Zdawało mu się, że skromne mając żądania, że nie wiele rojąc, pragnąc tylko doskonalić się i skromnie utrzymać życie, łatwo zaspokojony zostanie.

Trzeba się jednak było dać poznać, i w tem największą przewidywał trudność. W każdem mieście są jacy tacy dyletanci, do nich trafiając zdawało mu się, że pójdzie dalej przez nich popchnięty; ale miejscy główni muzyki amatorowie tyle mają do czynienia! Ilużto przyjaciół i znajomych córki i synowie klapią im na fortepianie! ilu wędrownych żydków narzuca im po sto biletów koncertowych do rozdania! ilu wielkich artystów

raczy żyć kosztem ich kieszeni i czasu w przejeździe przez miasto! Dyletant znany i uznany za dyletanta, w ustawicznem jest utrapieniu, nie wiem jak mu muzyka w ostatku nie obmierznie. Znałem kogoś co lubił pierogi z serem, i tak go wszędzie niemi traktowano, że w końcu w usta ich już wziąć nie mógł; toż samo w ostatku być musi z lubownikami muzyki, których pod pozorem ich pasji karmią najdziwniejszą strawą, a czasem, Boże odpuść! nawet gammami siedmioletnich bębnów! Listy rekomendacyjne hrabiego do dwóch takich panów, które Wacław odniósł, na niewiele mu się przydały. Pierwszy zajęty niezmiernie promowaniem własnego syna, który jakoby wielki talent okazywał na fortepianie, (bo któż dziś nie gra na nim z talentem?) nie miał czasu dla Wacława, i obawiał się go jako współzawodnika: posłyszał granie i zamknął mu drzwi swoje, osądziwszy w duchu, że syn jego zniknie przy tym przybyszu. U drugiego z dyletantów wszyscy w domu byli chorzy, nie godziło mu się w złą godzinę naprzykrzać. Zresztą żywej duszy znajomej nie miał Wacław, i z bojaźnią poglądać poczynał na wypróżniający się zapasik.

Pozostawała mu pociecha w muzyce, a czas upływał szybko na przechadzkach, graniu, kompozycji i rozważaniu dzieł mistrzów, które całemi godzinami mógł przepatrywać w magazynie pana Gr. Ale trzeba było coś począć wreszcie, chodziło o to jak? Wacław całkiem nie wiedział. Proszony by zagrał kilka razy dał się namówić do spróbowania wiedeńskich piano Gr., którego miał szczęście oczarować. Kilka osób wchodzących i wychodzących z magazynu było przytomnych, zatrzymali się i słuchali. Pan Gr., znawca i sam muzyk,

spytał go nareszcie: — Czemu pan nie dasz koncertu?

Wacław uśmiechnął się i zmilczał. Nietrudno było domyślić się przyczyny.

Jednego wieczora, gdy sam-na-sam byli z właścicielem magazynu, młody muzyk szczerze mu odkrył położenie swoje.

— Radbym się dać poznać, znalazłbym może jakie lekcje w mieście; ale pan wiesz, że koncert drogo kosztuje, a nie wiadomo co przyniesie. Najęcie sali, zapłacenie orkiestry, światło, afisze, usługa, wszystko to znacznych wyciąga nakładów, a kto wie czy się nawet powrócą?

— Nadto pan masz złe wyobrażenie o naszem miasteczku — rzekł pan Gr. — spróbuj, ja ręczę że się uda; za drugi, trzeci, czwarty nie założyłbym się, ale za pierwszy ofiaruję koszta ponieść, wrócisz mi je pan potem. Pozwól tylko przestrzedz się, że nie potrzeba pisać w afiszu skąd przybywasz, lepiej niech się domyślają że zdaleka; reguła ogólna: im z dalszego świata kto przyjeżdża do nas, tem lepiej przyjęty; powtóre, cenę biletu położyć potrzeba wysoką, nadzwyczajną. Ja bilety w magazynie moim rozprzedawać obowiązuję się.

— Ależ wysoka cena ich odstręczy!

— Bynajmniej! jestto stary fałszywy bardzo przesąd. Pierwszy co dotknął tego przestarzałego a fałszywego wyobrażenia, i dał nam wszystkim piękny przykład, był berdyczowski S....l. Doszedł on, że towar im droższy, tem pochopniejszy, więcej sprawia pokusy i przyjemności kupującym: raz, że w istocie dobry, powtóre, że się ceną jego miłość własna chwalić może; ja idę w jego ślady, i nieźle mi z tem wcale. Tak we wszystkiem, za co się drogo płaci, w tem się szuka

czegoś odpowiadającego cenie. Bądź co bądź zresztą, spuść się pan na moje doświadczenie."

Wacław zamilkł.

— Ale co straszniejsza — rzekł — to wybór sztuk koncertowych; bo proszę pana, jak dogodzić tak licznym domaganiom różnego rodzaju słuchaczy?

— O! na to jest pewna formula — odparł uśmiechając się pan Gr. — reguła niemylna prawie i uświęcona zwyczajem: 1. Uwertura, rozumie się. 2. Coś bardzo trudnego, bo trudne podoba się nieznawcom co za znawców uchodzić pragną. 3. Coś śpiewnego dla tych, co muzykę tylko jako melodję pojmują. 4. Coś krajowego dla tych, co krajowe wyżej wszystkiego cenią, naprzykład mazurek Chopin'a, krakowiak Kątskiego, ruskie melodje Każyńskiego, aby wszystkim było zadość. 5. Coś smętnego dla kobiet historycznych, bo ich protekcja daleko pana zaprowadzić może.. Zresztą...

— Ależ drogi panie — przerwał Wacław — chociaż nieuk nie jestem i wiele czasu straciłem na wyłamanie palców, na nabycie szybkości, na usamowolnienie ręki; odrazę mam od tej bieganiny i siekaniny starej szkoły Herzów i Czernych, lub stukaniny mądrej Liszt'a, który chce z dziesięciu dwadzieścia zrobić palców.

— To nieuchronne przecie, a drugie może improwizacja (choćby przygotowana); ale mówmy co wybierzemy.

— Już jeśli trudnego potrzeba, naturalnie Liszt'a, jestto przynajmniej muzyka.

— Bardzo dobrze! Liszt jest uosobieniem najwyższych trudności; ale co pan możesz zagrać z niego, bo *Erlkönig* oklepany, a *Ständchen* panny nawet się nie uczą.

— Bodaj symfonią Berlioza przez niego przepisaną.

— O! to za mądre dla nas, a zwłaszcza za długie; tak coś krótszego, a *con brio*, naprzykład marsz węgierski, jeśli go pan grasz.

— Gram i nieźle.

— Więc po uwerturze, którą wybierzem, wypróbowawszy wprzód w jakiej nasza orkiestra najmniej robi omyłek, marsz węgierski Liszt'a; dalej...

— Wedle teorji pańskiej potrzebaby coś śpiewnego.

— Niechybnie! Ale tyle jest rodzajów śpiewu! Zobaczmy do kogo pan masz słabość.

— O! naturalnie do Chopin'a.

— Ciężko go tu pojmują; i panny piętnastoletnie, które go zrozumieć nie mogły, zrobiły mu reputacją ekscentryczną.

— To zależy od wykonania; zobaczysz pan, że z nim pogodzę.

— A dalej panie kochany coś krajowego.

— Mazur Chopin'a lub jego krakowiak, i Thalberga fantazja z tematów narodowych ruskich.

— Zgoda, zgoda! prześlicznie. Nareszcie dla tych pań o których mówiłem, trzeba koniecznie coś... Schuberta.

— Zgoda i na Schuberta, choć wolałbym jednę z sonat jego, niż śpiewek: ale kto wysłucha sonaty?

— Otóż i program gotów. Winszuję panu, że tylu i tak różnych pisarzy grać możesz; po większej części artyści nasi grają szczególnie jednego, przywiązując się do niego; lub co gorzej, grają swoje. Ale, nie masz-że pan co swojego?

— Swojego! Graćbym się nie odważył.

— A! przecieżto teraz prawie konieczna przy każdym koncercie; niepodobna żebyś pan choć jakiej fantazyjki nie miał na sumieniu.

— Gorzej panie! gorzej! sonatę!

— A do licha! tak stara denominacja! Uchowaj Boże! zgubiłbyś się pan sonatą z nieukami i ze znawcami: pierwsiby na nią krzyczeli, że odwieczna; drudzy mogliby za wiele od niej wymagać.

— Chopin sonatę odświeżył.

— Nazwij pan jednak fantazją, to zupełnie jedno; mamy przykład Beethovena.

Długo tak jeszcze rozmawiali, a pan Gr. ze szczególnem zajęciem wziął na siebie dopomódz biednemu przybylcowi, który z bijącem sercem oczekiwał koncertu. Jak tylko ogłoszenia i afisze przylepione zostały, a cena po dukacie od miejsca rozeszła się z ust do ust, poczęto wypytywać pana Gr., a ten Wacławowi mistrzów nie żałował. Opowiadał wszędzie, że uczył się u Liszt'a, u Thalberga, u Chopin'a i Bóg wie tam u kogo; zaręczał, że gra jak sam Liszt, że to prawdziwe cudo, i że nigdy nic podobnego w Żytkowie nie słyszano.

Koncert, dzięki zabiegłości i staraniom pana Gr. był dość liczny, i dochód z niego na czas jakiś uspokoił Wacława; gra jego jednak nie tyle się podobała, ile protektor zdawał się spodziewać. W każdej sztuce wiele tłumowi imponuje szarlatanerja: tej całkiem brakło skromnemu Wacławowi, i to mu najwięcej szkodziło. Ludzie tylko tym po większej części wierzą, którzy głęboką w siebie okazują wiarę. Wacław jej nie miał. Powtóre: każdy z tych co choćby najgorzej grali na fortepianie, miał sobie za obowiązek okazać swe znawstwo krytyką, i coś w koncertancie znalazł do zganienia. Takich kilku wpłynęło na resztę, radą powtarzać techniczne ich wyrażenia, przedając je za

swoje. O! z czego się to składa sąd i opinja powszechna!! miły Boże! miły Boże!

Pomimo więc najlepiej obmyślanego planu koncertu, chociaż chwalono bardzo grę piękną Wacława, nie potrafił zrobić *furore* jak pierwszy lepszy Niemczyk lub Francuzina, coby przyjechał z długiemi bardzo włosami i ogromną o sobie opinią. Kilka pań dyletantek, których córki pragnęły nabyć metody, życząc sobie prócz tego w domach swych oprócz herbaty, kart i wina dać jeszcze gościom muzykę nową, zapoznały się z Wacławem. Poczęto go zapraszać bardzo uprzejmie, z tą grzecznością upokarzającą, którą panowie wyrabiają w sobie umyślnie dla artystów i chowają dla nich tylko; ale nikt, lub tak jak nikt, nie zaproponował mu dawania lekcyj.

Proszone wieczory i ranki muzykalne do reszty wycieńczyły muzyka, bo ciągnęły za sobą choć małe, ale dla niego powtarzaniem codziennem znaczące wydatki.

Któż nie wie, że niejeden podobny Wacławowi młody człowiek, nieraz nad parą świeżych rękawiczek, zabłoceniem butów lub zapłatą dorożki, westchnąć musi.

Jeden pan Gr. pocieszał go i nadziei dodawał, ale kilka miesięcy pobytu w Żytkowie dowiodły Wacławowi, że tu wyżyć nie potrafi. Miał tylko dwie, tanie i źle opłacane lekcje; mnóstwo zaproszeń przyjacielskich, za które odegrywać musiał jak za pańszczyznę, a do tego tuzin zazdrośnych, nieznanych nieprzyjaciół. Muzycy chleboroby żytkowscy, co żyli z dwuzłotowych i półrublowych swych godzin, posłyszawszy jego grę, poczuli wszyscy, że prędzej czy później przepaść im przyjdzie, jeśli sobie nie poradzą. Poczęli więc na różne sposoby

szkodzić Wacławowi w opinii, jako człowiekowi i artyście. Jeden z nich, gruby, tłusty, a wesoły, dobra dusza powszechnie zwany pan Falankiewicz, dowodził głośno: że Wacław był niechybnie szpiegiem; drugi utrzymywał, że grał bez taktu; trzeci, że był samouk i brakło mu metody klassycznej (ten uczył się u organisty w Berdyczowie). Nosili się z temi zdaniami po mieście, i jak każda u nas plotka, choć w setnej części przyjąć się musi, przyjęły się pracowite ich potwarze tu i owdzie.

Przybiwszy w ten sposób, niepokoili się jeszcze widząc go w Żytkowie, bo dla każdego z nich byłto naprzód żywy wyrzut sumienia, a w dodatku strach nieustanny, żeby się na nim nie poznano, żeby kto jako nowego sprobować nie chciał.

Falankiewicz, który przy wielkiej masie ciała, miał także dobrą dozę sprytu, postanowił zająć się wykurzeniem go (jak mówił), zapoznać z nim, zaprzyjaźnić i dopomódz do wyjazdu, wszelkiemi sposoby mu go ułatwiając.

Z początku rad był tej znajomości Wacław, ale jakże się na niej zawiódł! Myślał, że w towarzyszu znajdzie pokarm dla duszy i serca, rozmowę o sztuce, pomoc w kształceniu się; a trafił na człowieka, który umiejąc ledwie tyle, żeby uczyć, cierpieć nie mógł swego chleba, żyjąc cały próżnowaniem, kartami i plotką.

Pierwszemi słowy Falankiewicza było narzekanie na los, zwykłe artystom.

— Coto panie życie nasze: at! nędza! bieda! Gdzieto się na nas poznają, gdzieto nas jak należy zapłacą; ale człek skazany na te galery, biedę klepie i drwi z ludzi.

— Pan, zdaje mi się, skarzyć się jeszcze nie możesz.

— Ja! ja! Czyż gdyby człowiek nie był żonaty — odparł Falankiewicz — nie chwaląc się, nie wybrałby się na większy świat, nie znalazłby i sławy i grosza jak drudzy? Ale tu, nie chwaląc się, żona, dzieci, przywyknienie, zresztą, nie chwaląc się, ociężałem. Niech djabli wezmą, osiadłem w tej dziurze, a to taki dziura! Na pierwsze zaraz wejrzenie — mówił dalej uśmiechając się — powziąłem dla pana przyjaźń, i nie chwaląc się, litość mnie nad nim wzięła. Trzebaż panu było wpaść w taką, nie chwaląc się, otchłań! Szkaradna, głupia i przepaskudna mieścina; na jego miejscu, z jego młodością i talentem, wiedziałbym, nie chwaląc się, co zrobić! Oj! nigdybym tu nie mieszkał!

Wacław ruszył ramionami.

— Ale gdzież lepiej artyście? — spytał.

— Gdzie? Nie chwaląc się, wszędzie — odparł Falankiewicz — byle nie tu: tu panie piekło! Ludzie albo głupi, albo źli, albo skąpi...

— Godziż się sądzić ich tak ostro, bez wyjątku?

— A! to jeszcze, nie chwaląc się, lekko — dodał — Pan ich jeszcze nie znasz, ja, nie chwaląc się, wiele tu straciłem, a cóż zyskałem? Goły jestem, nie chwaląc się, jak i byłem, jak bizun; i żebyż wdzięczność, żeby trochę uczucia, żeby kto choć na imieniny wyszył mi poduszkę! gdzie tam!

Wacławowi wszystkie te czcze perory nie trafiały do serca, czuł w nich, jeśli nie zdradę, bo tej domyślać się nie mógł, to przynajmniej głupotę i deklamacją oklepaną; Falankiewicz tymczasem mówił a mówił i powtarzał nieustannie swe skargi i żale, mnożąc czernidła, któremiby mógł Wacławowi pobyt w Żytkowie

obmierzić. Wacław siedział i słuchał zimno.

Postrzegł po niejakim czasie pan metr, że nie wiele wskórał, i uplotłszy projekcik, czekał, żeby mu się zdarzyła zręczność przyprowadzić go do skutku. Trafiło się właśnie wkrótce, że przybyła z prowincji do Żytkowa pani jakaś, szukająca dla dzieci nauczyciela muzyki. Falankiewicz dowiedziawszy się o tem, wpadł zaraz do Wacława z miną tryumfującą dobroczyńcy, zacierając ręce i czuba, i zawołał:

— Zawsze miałem prawdziwą przyjaźń dla pana Wacława...

— Prawdziwie, radbym na nią zasłużyć, chciałbym ją zawdzięczyć.

— Przyjaźń moja, nie chwaląc się, jest bezinteresowna, — rzekł Falankiewicz zasiadając — każ mi dać fajki i czem się ochłodzić, choćby kieliszek wódki..

Po chwili spoczynku, protektorskim tonem, przybyły ciągnął dalej:

— Wie pan, nie chwaląc się, trafia się okoliczność jedyna dla pana.

— Cóżto być może takiego?

— Przybiegłem, nie chwaląc się, umyślnie z tą wiadomością, by go uprzedzić; jest wielu, coby mogli pochwycić przed panem; warto się pospieszyć. Możesz pan mieć wyborne miejsce na wsi....

— Miejsce na wsi; ja najmniej sobie tego życzę.

— Jakto! Wszak nie ma panie szczęścia jak na wsi! Uściskaj mnie pan, nie chwaląc się — podchwycił Falankiewicz — to jest okoliczność jedyna, nie ma jak wieś! Co pan masz robić w mieście?

— Powoli, znalazłbym może.

— Niebyś pan nie znalazł, nie, nie chwaląc się; le-

piej jest usunąć się na ustronie i swobodnie kształcić w zaciszy. Będziesz pan miał tylko kilka godzin zajętych, resztę czasu swobodną zupełnie, pensyjkę na pierwszy raz nie złą, utrzymanie porządne; czegoż więcej życzyć można?

— Ale gdzież? jak?

— Gdzie? zaraz powiem; jak? to się mnie spytaj. Ja mam moje stosunki i sposoby, i po przyjacielsku podam ci rękę.

Wacław przejęty wdzięcznością, dziękował serdecznie, choć istotnie wracać na wieś nie bardzo sobie życzył.

— Państwo Dębiccy — rzekł Falankiewicz — bardzo godni ludzie, mają dwóch synków i chcą, żeby się przykładali do muzyki.

— Dębiccy! — zawołał Wacław, którego nazwisko znane w okolicy Denderowa uderzyło — pani Dębicka!

— Tak jest, pani podsędkowa Dębicka z Kudrostawu!

— To w okolicy miasteczka...

— Tak jest. Znasz pan ją?

— Trochę znam... ale...

— Masz pan co przeciwko temu miejscu?

Wacław się zarumienił. Strona ulubiona, pamiętna: kolebka jego młodości nęciła go ku sobie, ale zarazem przypominał czem był ten dom państwa Dębickich i przykro ścisnęło mu się serce.

Państwo podsędkowie oboje odegrywali komedją dobrego tonu; dom ich doskonale śmieszny i odstręczający, dla Wacława ostatnim był, do któregoby się dostać, nawet nie mając kawałka chleba, pragnął. Dębicki niegdyś ekonomował, co najmniejsza; ale to był

grubianin, bez wychowania, chciwy, posądzony o kradzieżą; a że się już zmógł na dwie wioski, udawał podpanka, nabrał potężnego tonu i za pan brat chodził bodaj z książęty. Żona jego, (dobrze dobrana para) krzykliwa baba, jak on skąpa, jak on kłótliwa, opryskliwa, sekutnica, poczynała także chorować na tony pańskie, i dlatego chłopców swych przedewszystkiem uczyć chcieli francuzczyzny i fortepianu, angielskiego języka i czego tylko nie umieli sami. W sąsiedztwie powszechnie wyśmiewano się z Dębickich i brano ich na zęby, bo stroje ich, zaprzęgi, dom, meble, liberja, krygi, miny, pretensje, mowa, były istotnie godną śmiechu karykaturą. Jejmość ongi, garderobiana w książęcym domu od lat dziecinnych, trochę liznąwszy francuzczyzny, paplała nią w najokropniejszy sposób i prawiła zupełnie serjo największe niedorzeczności; sam pan śmiało wspominał ojca swego starostę, dziada podkomorzego, choć wszyscy wiedzieli, że jeden był podstarościm, a drugi marszałkiem dworu.

Taki to dom otwierał się Wacławowi; ale gdy w każdym innym razie byłby propozycją odrzucił, teraz znużony jakąś tęsknotą, wyczerpnąwszy środki utrzymania, jakkolwiek czuł wielki wstręt od Kudrostawu i zawahał się, gdy mu o nim wspomniał Falankiewicz, wziął jednak rzecz do namyślenia.

Nazajutrz jeszcze niepewien, czy miejsce to przyjmie, naglony, postanowił pójść z Falankiewiczem do pani Dębickiej. Stała ona w zajezdnym domu na Cudnowskiej ulicy, dosyć pokaźnie, i wypakowywała swe stroiki, sądząc, że jej w Żytkowie będą potrzebne, gdy wszedł znajomy jej Falankiewicz z Wacławem.

Pani podsędkowa mogła mieć lat około czterdziestu,

ale zachowała się świeżo i zdrowo, a rumiane wydęte policzki świadczyły, że miała się dobrze i że jej na niczem nie zbywało. Na pierwszy rzut oka poznała wychowańca hrabiów z Denderowa i pochlebiło jej to niezmiernie, że ten, który dawał lekcje hrabiance, może uczyć synów. Wacław postanowił żądać wiele, żeby miał powód powiedzieć sobie: — Cóżem winien, próbowałem, nie udało mi się; rozum bowiem nie pozwalał odrzucać, a serce wstręt czuło nieprzezwyciężony.

— A! wszakto pan Wacław! a *Bon soir*, *Monsieur* Wacław! a to pan! Bardzom rada, znaleźć znajomego w tym kraju!

— I ja pani dobrodziejko.

— Jaki to pan Falankiewicz szczęśliwy, że na pana trafił.

— W istocie — odparł otyły metr z ukosa mierząc oczyma oboje — nie chwaląc się, bardzom szczęśliwy, bo widzę, że państwo się łatwo ułożą i będą z siebie kontenci.

Po tych grzecznościach przyszło do rzeczy, a Wacław pospieszył zażądać wiele, by od siebie odstręczyć, ale Falankiewicz z góry go zakrzyczał:

— Nie słuchaj pani podsędkowo dobrodziejko! musi on od tego odstąpić...

I jak zaczęli go męczyć we dwoje, artysta który brzydził się tym targiem i przedawaniem siebie, znużony, nieco ustąpić musiał. Tak niespodzianie przyszło do zgody z radością wszystkich, ze smutkiem jego.

Chwycił się za głowę wyszedłszy z tego domu, pomyślawszy, że się zaprzedał, a Falankiewicz powiódł go odurzonego danem słowem do winiarni i kazał się poić na rachunek należnego pośrednikowi mohoryczu;

pożyczył w ostatku kilka rubli u Wacława i tak go uśmiechając się odszedł.

Nazajutrz rano zaraz pani podsędkowa Dębicka ze zdobyczą swoją zaczęła się w podróż wybierać, kończąc szybko sprawunki zapasów do domu, które jako tańsze w Żytkowie skupowała.

Wacław widząc nieuchronnym wyjazd, smutnie przygotował się do drogi, bez żalu opuszczając miasto, którego nie polubił, do którego przywiązać się nie miał czasu, z którem go nic nie łączyło. Może też myśl tajemna, z której sobie nie zdawał sprawy, myśl zbliżenia sie do Denderowa, słodziła mu przykrą perspektywę pobytu w Kudrostawie.

Około południa nałajawszy żydów, nakłóciwszy się z kupcami, nakrzyczawszy na pijanych ludzi, pani podsędkowa siadła do kocza ze służącą, wskazując Wacławowi miejsce na przodzie, i w milczeniu rozpoczęła się podróż, która artystę zawracała nazad ku rodzinnemu kątkowi świata, opuszczonemu niedawno i pożegnanemu na długo, a jakimś losem zbliżającego się znów ku niemu.

Spójrzmy co się tam działo.

Hrabia i rotmistrz oba widzieli się w konieczności okazania odwagi, oba nie wiele jej mieli i najmniejszej nie czuli ochoty narażania życia i dostarczenia sąsiedztwu wątku do plotek złośliwych. Rotmistrz wprawdzie tchórzem nie był, ale od niejakiego czasu wywietrzała mu dawna zuchwałość, zasmakowało życie swobodne, wygodne, spokojne; zaczynał nabywać brzucha, a tracić junakerją gwardyjską. Dobrze rozmyśliwszy się, hrabia sam pojechał do pana Powały i z miną poważną człowieka, który głęboki kryje smutek w sobie, usiłując go zwyciężyć, wszedł niespodzianie do zadumanego wojaka. Rotmistrz zmieszał się na ten widok, i przyjął go nie bez wzruszenia i wstydu: czuł się winnym wobec niego.

— Rotmistrzu! — odezwał się hrabia gdy zostali sami — nie róbmy zgorszenia na pociechę kochanym bliźnim, i utopmy interes ten w niepamięci. Wiem, że żona moja chwilową tylko i niewiele winną zalotność ma sobie do wyrzucenia, że ty może usłuchałeś mimowolnie pierwszego popędu, nad którego skutkami zastanowić się nie chciałeś, i szczęściem całe to zdarzenie

pokrywa dla wszystkich tajemnica; zostawmy jak jest całą sprawę i dajmy sobie pokój. Kładnę tylko jeden warunek — dodał hrabia.

Rotmistrz, który się takiego rozwiązania nie spodziewał wcale, cierpliwie słuchał ciągle zmieszany.

— Oto nie będziesz pan nadal wcale myślał o żonie mojej, nie będziesz robił słodkich oczek; zachód byłby daremny, przestrzegam.

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Panie hrabio! — rzekł — jeśli mnie masz choć po części za wytłumaczonego, boś i sam był młody...

Dendera zmarszczył się, bo miał jeszcze do młodości pretensją, a rotmistrz postrzegłszy bąka, poprawił się:

— Boś i sam miał chwile uniesień... naturalnie, że byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym pomyślał o zamąceniu mu spokoju...

— Wierzę! wierzę! — szybko zawołał hrabia — ale tu przedewszystkiem chodzi o to, żeby świat o niczem nie wiedział, niczego się nie domyślał. Jeśli pan nagle zerwiesz stosunki z nami, jeśli, jak mam szczerą intencją, natychmiast panu wypłacę jego sumę, ludzie muszą się czegoś domyślać; będę posądzany: a i to dla mnie, dla imienia Denderów, już wiele.

Na wspomnienie sumy, rotmistrz nieznacznie zagryzł usta, ale musiał zamilczeć.

— Trzeba więc — mówił hrabia — żebyś pan u nas bywał jak przedtem, zachował dla nas przynajmniej pozór, jeśli nie uczucie przyjaźni; a nie widzę zresztą potrzeby, byśmy sobie w łby strzelać mieli...

Hrabia, który tak wspaniałomyślnie udzielił przebaczenia, znalazł łatwym do pojednania rotmistrza

któremu chociaż konkluzja co do kapitału nie podobała się, ale to bywanie w Denderowie miłym było obowiązkiem.

Kazał przynieść szampana, bo jako eks-rotmistrz wszystko przywykł zaczynać i kończyć szyjką srebrzystą, i przy kieliszkach stanęła zgoda najśmieszniejsza w świecie, a rozmowa z drogi stromej i śliskiej zeszła na bity gościniec oklepanych pytań i odpowiedzi. Oba jednak, gość i gospodarz, czuli się jakoś nieswoi, biedni, skłopotani; i byliby tak długo nie wytrwali, gdyby sąsiad pan Cielęcewicz nie wpadł z wizytą. Radzi mu. byli jak nigdy.

Pan Cielęcewicz, niegdyś deputat jakiś, niewiadomo kiedy i do czego, był mężczyzną lat około pięćdziesięciu, suchy, chudy, brzydki, z olbrzymim bladym nosem, ostremi małemi oczkami, wąsami i brodą zawiesistą; chodził najczęściej w jakiegoś rodzaju fantastycznej siermiężce, w czapeczce kwadratowej i z pałką w ręku. Posiadacz czterech chłopów w sąsiedztwie, odłużony, w kłopotach, rzadki w domu, częsty u ludzi, pokrywał swego życia pasożytne formy pozorem jakiejś filozoficznej propagandy. Cielęcewicz był krótki czas w Paryżu, a dłużej w Niemczech; wielu się rzeczy nie douczył, bardzo wielu całkiem nie zrozumiał, resztę przez pół przyswoił, a kcniec końcem miał sobie za obowiązek to, czego nie umiał, i nie zrozumiał — propagować w kraju. Byłto stronnik najostateczniejszych opinij, słowem, jak sam z niejaką dumą się spowiadał, kommunista, falansterjanin, Saint-Simonista, razem humanitarjusz, mormończyk i co chcecie. Długi włos jego, twarz zarosła, kapelusz spiczasty z wielkiemi skrzydłami, ubranie i mowa, zwiastowały zaraz coś wielce

oryginalnego. Hrabia, który go często synowi jako egzageracją doktryn przez niego wyznawanych wskazywał, nie mając go wcale za niebezpiecznego, śmiał się z innemi z tej karykatury socjalistów.

Cielęcewicz miał to do siebie, że gdziekolwiek był, z kimkolwiek się znajdował, o czemkolwiek mówiono, nie zważając na nic, brał się *eo instante* do propagandy, i zachwycając swem pieniem, które go naprzód samego upajało, im dłużej mówił, w tem większy wpadał zapał; a jeśli mu się kto sprzeciwił, do wściekłości prawie doprowadzonym bywał i w oczy skakał kontradyktorom.

Podchmieleni nieco, a zakłopotani panowie nasi, powitali go nadzwyczaj serdecznie. Rotmistrz postawił kielich i zmusił do zrównania się, o co zresztą Cielęcewicza prosić bardzo nie było potrzeba. Tak na razie go spoiwszy, wpuścił na drogę wymownego propagowania socjalizmu, i usiadł spokojny.

Hrabia wziął na siebie kontradykcją, bez której Cielęcewicz mógłby się był opuścić, i śpiewać tylko pod nosem mniej zajmującą pieśń zwycięztwa.

— A zatem zdrowie panów! obywateli! chcę mówić — zawołał Cielęcewicz — i wiwat ten wiek złoty, w którym wszyscy ludzie po chrześcjańsku kochać się będą!

— No! a kiedyżto się mamy tego spodziewać? — spytał hrabia.

— Przyjdą te czasy, kiedy ludzie podług mojej teorji będą szczęśliwi.

— I takie czasy będą aurorą złotego wieku?

— Jakbyś tam pan był — rzekł Cielęcewicz — tak mówi niemylna teorja moja, teorja a raczej formuła ludzkości.

— Tymczasem — spytał hrabia śmiejąc się — jak tam urodzaj i zbiór w Hołodudach?

— A! panie! co to za lud barbarzyński! — odparł spijając szampana Cielęcewicz. — Wszak nie mogę dostać robotnika...

— Bracia-to! — podchwycił hrabia.

— Bez wątpienia, ale potrzebują wprzód wycywilizowania i oświaty — przerwał rezonator — bo to dziś niemal bydło! ani sposobu ich nająć! Każdy z nich woli próżnować, niż pracą grosz jaki szlachetnie zarobić. Zatem więc z bolem serca i upokorzeniem ludzkości, musiałem wczoraj pięciu moim współpracownikom dać w stronę odwrotną, i posłać po policją, żeby zrobiła mi porządek. Nie słuchają!

Hrabia śmiał się na całe gardło.

— Zgadzaż się to — spytał — z pańską teorją?

— Zgadza i nie zgadza, ale to stan społeczny temu wszystkiemu winien. Bydlęta, powiadam, a w dodatku złodzieje!

— Zlituj się pan! przecież wszystko ma być wspólne?

— Tak! ale to nie teraz! — odparł zwycięzko Cielęcewicz. — Przyjdzie czas ten błogi, przyjdzie, zobaczycie państwo lub nie zobaczycie, co to jest falanster i życie falansteryczne lub ikaryjskie (dwie formuły nie wiele od siebie oddalone): raj ziemski! istny raj ziemski! Praca taka tylko jaka się komu podoba, od niechcenia, dla zabawki, rozkosz jaką sobie kto wybierze, hulanki od rana do wieczora, i panowanie uczciwości, cnoty...

— Jakto? — zapytał hrabia — wszyscy będą cnotliwi?

— A tak, muszą! — poruszając się mówił Cielęce-

wicz — muszą! Weźmiemy człowieka od pieluszek, i jak zaczniemy go gnieść, miesić, macerować, w formę daną i uznaną za najlepszą pakować, zmusim wszystkich rość, myśleć, żyć jednakowo, jednakowo trawić i instynktowo spełniać cnoty. Zresztą, cnota nasza nie będzie trudna, bo, pytam się, jak tam zgrzeszyć, gdzie można wszystko robić, co się komu podoba?

— Wszystko? — spytał rotmistrz. — Jakto? naprzykład i w łeb komu strzelić?

— Tego nie jestem pewny — odparł Cielęcewicz szampanem owładniony. — Ale dla czegożby ludzie mieli wówczas chcieć sobie w łby strzelać?

— Ba! — rzekł hrabia, z ukosa rzucając okiem na rotmistrza — gdyby naprzykład dwóch kochało się w jednej kobiecie?

— No! to oba ją mieć mogą! — odparł zwycięzko Cielęcewicz.

— Ale wyznaj, że mieć obu, to tak jakby jej żaden nie miał... to ohydne...

— Otóżto dzikie i fałszywe wyobrażenia dzisiejsze! — zakrzyknął doktor socjalizmu.

— Widać, żeś waćpan nie żonaty — śmiejąc się przerwał hrabia, ale bez jakiejś złości wewnętrznej. Rotmistrz spuścił oczy, ssał cybuch.

— Kwestją tę kobiet głęboko traktuje Fourier — rzekł w zapale Cielęcewicz, nalewając sobie wina. — Ja także uprawiałem ją i studjowałem — dodał — rzecz jest stanowczo przezemnie rozstrzygniętą; bez swobody kobiety i wspólności kobiet, społeczność chorować musi; równie jak własność wyłączna, związek wyłączny jest anormalnością. Wszelki cień wyłączności zniknąć powinien.

— Lecz ty sąsiedzie, co się tak nią brzydzisz, czemuż swoich włościan nie rozpuścisz, i nie poczniesz reformy od siebie? — zapytał Dendera.

— Nie głupim! — rzekł Cielęcewicz — ja oddam co mam, a mnie nikt nic: piękna zamiana! Jabym chciał przeciwnie, wziąć od drugich, a swego nie dać nikomu.

Hrabia się śmiał, a socjalista upojony winem i sobą, prawił dalej coraz zuchwalej i śmieszniej; nareszcie przebrało mu się aforyzmów, usiadł, zakaszlał się i przerwał sobie zimniej:

— A! a! przepraszam, najważniejszej rzeczy zapomniałem, wszak mam hrabiemu zwiastować...

— Mnie? co?

— Gościa! Marszałek Farurej wybiera się jutro do niego...

— Tak dawnośmy się nie widzieli — odparł hrabia zimno — że nie wiem, czy się poznamy.

— Dawno! Nic dziwnego, długo nie było go w kraju: powraca wprost z Paryża.

— Przecież powrócił! — wciąż obojętnie mówił Dendera.

— Wrócił zdrów jak ryba, świeży i odmłodzony.

— Jeszcze młody! Zdaje mi się, że starszy odemnie przecie!

— Ale jak wygląda! Świeży, rumiany, rzeski, zdrów, nadskakujący dla kobiet: *petit maitre* zawsze...

— Jak dawniej.

— Dobrze w Paryżu nadszastał fortunki? — spytał rotmistrz z przekąsem.

— On! gdzież znowu! Świeży spadek dał mu czystych dwa miljony i ogromne remanenta, bogatszy niż

był. Mówią — dodał Cielęcewicz, rzucając znacząco okiem na hrabiego — że się myśli żenić nareszcie.

— Żenić! — zawołali oba.

— Ba! czemuż nie? Bogaty jak Krezus, świeży, zdrów, miły; chciałby wziąć z dobrego domu młodą panienkę, choćby nieposażną...

— O! stary satyr! rozpustnik! — z uśmiechem przerwał Dendera; ale wtem jakaś myśl go nawiedziła, zadumał się, zdawał rachować, aż Cielęcewicz obudził go pytaniem:

— Będzie pan hrabia jutro w domu?

— Będę! będę! i czekam miłych gości z upragnieniem! — Twarz mu się wyjaśniła, już snuł projekt w głowie.

— W istocie — mówił sam do siebie — gdyby się o Cesię starał, nie byłoby źle... W teraźniejszych okolicznościach mógłbym mu nie dać posagu... może jej zapisać miljony, a sam pewnie pociągnie nie długo: zrujnowany fizycznie. Gdyby Cesia miała rozum, poprawilibyśmy się miljonami tego starego kobieciarza;... a Cesia mu się podobać powinna, młodziuteńka, świeżuchna, prawie dziecko, to własnie, za czem gonią ci starzy wyjadacze.

Cielęcewicz, który zbyt długo jak na siebie, mówił o przedmiocie obojętnym, znowu począł się puszczać w furjeryzm i proroctwa przyszłego szczęścia rodu ludzkiego, pałał, zapalał się, płomienił, wstawał, gestykulował ogromnie, wywracał i tłukł kielichy, oblewał się winem, i tryumfujące czoło coraz otrząsając z włosów, krzyczał już tak, że się lokaje zbiegali, sądząc że kłótnie zobaczą.

— Przyjdzie — mówił — ten czas, gdy ludzka

natura się zmieni, gdy wszyscy ludzie staną się łagodni jak baranki.

— Jak cielęta — mruczał hrabia.

— Jednakowi wszyscy twarzą, wzrostem, ruchem, myślą. Co za widok! najśliczniejsza harmonja z końca w koniec kuli ziemskiej panować będzie... Nikt nad nikogo nie będzie wyższym, bo geniusz jest zawsze zdobywcą i przywłaszczycielem, gieniusz potrzeba w zarodku zniszczyć i okrzesać do normalnych proporcyj; nikt nie będzie nad nikogo lepszym, bo wszyscy dojdą *nec plus ultra* dobroci; nikt od nikogo rozumniejszym; nikt piękniejszym nawet, doprowadzimy ludzkość do jej prototypu, niszcząc co poniżej pozwala sobie tworzyć natura!

— I świat umrze w ogromnem ziewnieniu — zawołał hrabia wstając od stołu. — A ty panie Cielęcewicz, jutro do Denderowa z panem Farurejem! Nieprawdaż? póki co będzie zabawim się; może i rotmistrz nie odmówi?

To mówiąc pożegnał ich, powtarzając zaprosiny. Ledwie był za drzwiami, reformator odezwał się, wskazując za nim:

— To spróchniała kłoda; ale hrabina, zdaje mi się, jest bez przesądów, ma wyższe o rzeczy pojęcie. Zdałaby się do falansteru! Hę? rotmistrzu! hę? nieprawdaż?

Rotmistrz, jakby go zlał ukropem, wychylił duszkiem kielich szampana.

Znacie już trochę Cesię; typ to w swoim rodzaju wielu kobiet dzisiejszych: więcej głowy niż serca, więcej wyobraźni niż uczucia, wcześnie stara rachubą, wyżej ceniąca urojone dobro niż prawdziwe, Cesia miała przecież choć zimowe, choć spokojne, choć zawiędłe serduszko. Każdy ma go trochę, nawet ci, o których mówią, że im całkiem braknie. Zdawało jej się, poczynając oczyma rozmowę z Wacławem, że to będzie tylko wprawa oczu, związek co się rozerwie gdy zechce, nieporuszający serca, nie mogący zamącić spokoju. I nie głęboko też uczucie się w nią wkradło; żegnając Wacława marzyła o innych, zimna pierś nie zabiła żalem, nie rozdarła się cierpieniem. A jednak po odjeździe jego, gdy się znalazła samą, czy nudy, czy nałogu, czy trochy uczucia skutkiem, posmutniała nieco, i zdziwiła się swemu bolowi, tęsknocie, czczości, jaka ją otoczyła.

O! bo nigdy nie godzi się żartować i bawić tem uczuciem, mówiąc sobie: — To rozrywka tylko, ja kochać nie będę! — Któż wie, jak i kiedy pokocha, i czy przestanie gdy zacznie, i czy potem serce nie spęka się od bolu?

Gniewała się na siebie Cesia, że to miejsce przy fortepianie, że któraś ścieżka w ogrodzie, że ławka, na której widziała go z ganku, uparcie jej nieobecnego przypominały, że wspomnienie jak widmo natrętne snuło się za nią dniem i nocą. Sama siebie pytała się, czy go tak kocha, i odpowiadała sobie: — Nie! nie! cóżby to było? szaleństwo! dzieciństwo! On i ja! Ja i on! — A jednak wzdychała i było jej jakoś tęskno, ciężko jakoś, jak gdyby część samej siebie straciła. I mówiła sobie niedoświadczona: — To przejdzie, to minie, ja się nudzę tylko, ja nadto przywykłam do niego!

Ale upływały tygodnie i miesiące, a tęsknota rosła, i co gorzej, Cesia już pytając siebie, znowu badając, niekiedy przypuszczała, że odrobinkę kochała; uznawała że był zajmujący, przystojny, pełen uczucia, i że z nim jakoś weselej było w Denderowie.

Pomimo to, jak kobieta, gdy się zręczność trafiła, oczyma i ustami wabiła ku sobie innych, i Walskiego, którego miała za nieżonatego (w istocie żona mu wkrótce potem umarła), i kto się nawinął z młodzieży. Niktby nie poznał co się działo w jej duszy, choć już i niejedna łza, z jej własnem zdumieniem, z oburzeniem i zgrozą, nocą spłynęła po twarzy... Gdy grała to; co on grał, tak pięknie, tak wymownie i wyraziście, często opadły ręce, zadumała się i zerwała potem szydząc z siebie, otrząsając trochę uczucia, którego się wstydziła. O! niepojęte serce niewiasty! Jestżeś ty jak serce aniołów, co musi kochać świat cały? czy dla tej miłości, przeczucia drugiej ojczyzny, kochając wszystkich, stale nie możesz ukochać nikogo? Lub jestżeś jak serce szatana, który wybiera pastwę jaka mu się nawinie

i ściga ją aż pochwyci; a gdy porwał, odrzuca ze wzgardą? Serce niepojęte, serce niezrozumiane; z siwemi włosy staje przed tobą człowiek nie znając cię jeszcze, równie ślepy, równie jak w młodości nieświadomy twej głębi; i umiera a nie wie, czy choć raz był kochanym, czy sto razy złotej jej nici nie rozcięło ostrze tajemnej zdrady i pragnienia... Tajemnico niezbadana, jakżebyś była wielkim przedmiotem badania, gdyby z krwią zimną wpatrywać się można w twe dzieje, mozaikę złota i czerni, promieni i ciemności... Trzeba ci zostać zagadką!

Cesia kochała jak większa część kobiet, którym żadna miłość nie przeszkadza przez tydzień kochać kogoś innego, dwa tygodnie o kimś marzyć i wrócić do pierwszego ulubieńca, po tych wycieczkach myśli, w których i serce udział miało.

Właśnie wsparta na ręku dumała o Walskim, o Wacławie i o trzech czy o czterech jeszcze jasno- i ciemno-włosych młodzieńcach, w prześliczne ubranych kamizelki i zręcznie motylkujących koło niej, gdy do jej pokoju weszła strojna i uśmiechająca się matka, wołając:

— Chodź Cesiu do salonu, mamy gości.

— Gości! chwała Bogu! Ale kogóż?

— *Monsieur Chose!* A! jakże się zowie? zapomniałam, *un nom très ancien et fort distingué, mais singulier; on le dit de fort bonne souche.* A! Farurej! Jakże ci się podoba?

— Ten stary marszałek, o którym od wieków słyszę? który był za granicą?

— *Justement, il debarque fraichement de Paris;* nadzwyczaj ciekawa postać, bywał na salonach Ludwika-Filipa.

— Przynajmniej to dystynkcji nie dowodzi, bo tam i mydlarze i kupcy korzenni bywali.

— *Mais il a frequenté à Paris, ce qu'il y a de mieux; il a été reçu au faubourg St. Germain;* no! chodźmy! Jeśli nie będzie miły, to nowy i zabawny niezawodnie; rozerwiesz się, trochę jesteś smutna. Ale popraw wprzód włosy.

Cesia rzuciła okiem na siebie i trochę wykończywszy ubranie, które nie chciała mieć zbytecznie wyszukanem i pretensjonalnem, poszła za matką, rada rozrywce.

Pan Farurej już był w salonie z hrabią, z Sylwanem Cielęcewiczem.

Dwaj ostatni zawsze spotkawszy się rozpoczynali walkę nieustanną między sobą; Cielęcewicz był i wyznawał się kommunistą i radykalistą, a Sylwan ograniczał się żądaniem lekkiej reformy społecznej, której zasad nie umiał ściśle oznaczyć. Dwie panie wchodząc zastały już walkę rozpoczętą jak zwykle. Cielęcewicz stał w pośrodku salonu, i jakby był w klubie, perorował bardzo głośno:

— Ludzkości nie mogą uszczęśliwić jakieś tam półśrodki: nie! stokroć nie! Przez najostrzejsze środki, jeśli tego będzie potrzeba przejdziemy bez wahania, bez wahania, i nową formą odrodzimy społeczność.

— Boże! na cóżeśmy trafiły — śmiejąc się zawołała hrabina do Cielęcewicza, który nagle spadłszy z wysokości swych deklamacyj, uśmiechał się i witał.

— Niech się pani nie lęka — rzekł mowca — to jeszcze nie zaraz nastąpi.

Wtem pan marszałek Farurej powstał na powitanie dam, z lekkością młodzieńczą, choć miał niestety oddawna lat pięćdziesiąt!

Ale czegoż nie dokaże sztuka! Z tyłu widziany, ruchami, ubiorem, trzpiotowatemi gestami, zupełnie był podobny do młodzieńca; obrócony twarzą, wyglądał nieco inaczej.

Łysy całkiem, przyznawał się tylko trochę do łysiny, a peruka jego zrobiona z największym kunsztem, kłamała mu resztę włosów; bez zębów, miał wstawione wyroby sławnego Rogers'a, nieuderzające wprawdzie pięknością, którąby podrobienie zdradzała, ale wcale jeszcze pokaźne; chudy, wszystkie suknie miał wywatowane nadzwyczaj misternie, z głęboką znajomością nie tylko ciała, ale i serca ludzkiego; nigdzie sztuki nie zdradzała przesada. Ubiór miał skromny i piękny, ale co na twarz poradzić! Ocet towarzystwa hygienicznego, kosmetyki Indji i Afryki, woda książęca, eliksiry, pomady, nie wiele ją upiększyć i odmłodzić potrafiły. Marszczki jakkolwiek powyciągane na tył, odzywały się wszędzie, nos nie miał kształtu żadnego, usta rozeszły się zbytecznie na kształt wypracowanych bardzo rękawiczek; oczy nabrzmiały i zaczerwieniły się, zdając wyskakiwać z powiek...

Niesłychanie grzeczny, nadskakujący, posunął się zaraz ku hrabinie i hrabiance, a wiedząc jak naszym kobieciętom pochlebia, gdy kto domy ich, wróciwszy z Paryża chwali, nakręcił tak rozmowę, żeby mógł wyznać, iż pierwszy salon w Denderowie, smakiem, ubraniem, tem czemś nieopisanem, co nadaje piętno właściwe, przypomina mu salony Paryża i *Faubourg Saint-Germain*. Hrabina uczuła się niezmiernie połechtaną i odparła, jak się czuje szczęśliwą z przybycia takiego sąsiada, gdy się zdawali skazani już na pożarcie parafianom, i jak dawni chrześcjanie w cyrku,

rzuceni tym potworom na pastwę.

Marszałek nadzwyczaj się uniósł nad dowcipnem porównaniem, i tak szczęśliwie poczęta rozmowa, w której obie strony trafnie się głaskać umiały, poszła dalej żywo, a Farurej zręcznie potrafił do niej wmieszać Cesię. Cesi to pochlebiło, bo się lękała zostać opuszczoną, jak mała dziewczynka, i zmuszoną samej się nabijać dla okazania dowcipu i dojrzałości.

Pokazała więc śmiało całą błyskotliwość żywego umysłu i szczebiotliwą łatwość rozmowy, na jaką naprędce zdobyć się mogła.

Hrabia z żoną szepnęli coś do siebie, i Farurej niby przypadkiem zostawiony na chwilę z Cesią, prowadził z nią dalej rozpoczęte dowcipkowanie.

Czemuż wam go odmalować nie umiem, gdy zmożony podagrycznem cierpieniem, z uśmiechem na ustach, grał tak doskonale zajęcie, żywość, wesołość wśród doskwierających mu męczarni; zwracał się, okręcał, wstawał, siadał, pracując na każdy ruch, ale na oko odbywając je lekko i łatwo. Chodziło mu bardzo o pokazanie że jest w pełni sił i wieku.

Cesia w duszy umierała ze śmiechu, ale ten Paryżanin przekwitły, tak dla niej grzeczny, tak nadskakujący, tak dobrego tonu, pomimo swej śmieszności, bardzo jej pochlebiał uwagą, jaką na nią zwracał ciągle; szydziła z niego, a była mu wdzięczną.

Hrabia umyślnie rozprawiał żywo z Cielęcewiczem, żeby nie zmuszać Farureja do odwrócenia się ku sobie; hrabina trochę chmurna wzruszała ramionami nieznacznie, a Sylwan coś przyśpiewując pod nosem, chodził po salonie.

Wtem przybycie rotmistrza pomnożyło towarzystwo,

a hrabina, która nie wiedziała, że był zaproszony, zdumiała się; i mimo potęgi, jaką miała nad sobą, trochę ust zagryzła, trochę się zarumieniła. Wnet jednak oprzytomniając się zawołała do niego z żartobliwym wyrzutem:

— To nie do darowania, żeby tak o nas zapomnieć!

Rotmistrz zupełnie zbił się z tonu, splątał i zabełkotał coś niezrozumiałego, ale go Sylwan porwał zaraz po przywitaniu, i potrzebując u niego pożyczyć pieniędzy, począł starannie miodem grzeczności smarować.

Nikomu w tej chwili potrzebniejszemi nie były pieniądze, ował bosnowiem projekt nie lada, zemstę wielką, której, jak mu się zdawało, bez pieniędzy nie mógł przyprowadzić do skutku, a z niemi miał jej dokonać niezawodnie.

Zbity ze wszystkich dróg przez starego Kurdesza, postanowił sobie przekupić Brzozosię, dowiedzieć się od niej kiedy ojciec w domu nie bywał, rozpocząć cichutko bliższe stosunki, i... któż tam wie co roił; to pewno, że marzenia jego nie kończyły się u ołtarza; wolał sobie powiedzieć:

— Wydam ją za kogo.

Bo też Sylwan nie kochał wcale, chciał się tylko bawić i zemścić. Zdawało mu się, że najpewniejszą drogą do Frani była naiwna Brzozosia; a do serca ubogiej i na łasce żyjącej rezydentki, pieniądze. Chodziło więc o to tylko, zkąd wziąć pieniędzy i jak się do Brzozosi zbliżyć, gdzie ją znaleźć, jak z nią rozmówić, tak, aby to ludzkich nie zwróciło oczu.

Wcześnie radował się Sylwan, że ogólny plan kampanii tak szczęśliwie nakreślił, w wykonaniu jego

rachując na pomoc losu, na trafy, na coś, co zwykle młodym a wytrwałym w pomoc i przymierze przychodzi.

Nie ze wszystkiem się też w tych nadziejach mylił, bo traf dostarczył mu pierwszą zręczność widzenia się z Brzozosią sam-na-sam. Myśląc o Frani, Sylwan często jeździł do gaju pod Wulkę, i po kilka razy drożynę przezeń wiodącą przebywał czyhając na swoję ofiarę. Raz mrokiem postrzegł toczącą się zdala postać, która, jak się domyślił i nie mylił, była w istocie Brzozosią; przyspieszył kroku, dognał ją i naprzód przestraszył bardzo biedaczkę.

— Jezusie, Marjo! — krzyknęła Brzozosia, która powoli odmawiając pacierze, wracała z pasieki.

— Dobry wieczór pani!

To przywitanie i grzeczne *pani*, wyrzeczone z ukłonem, sprowadziło uśmiech na usta starej panny; dygnęła mu o ile nierówność drogi pozwalała, i sznurując usta, wstrzymała się zawracając ku niemu.

— Dobry wieczór panu hrabiemu!

— Cóż tu pani tak sama jedna porabia?

— Wyszłam na przechadzkę... (wstydziła się przyznać, że chodziła do pasieki).

— Jak się tam ma panna Franciszka?

— Zdrowa! zdrowa! — śmiejąc się dodała Brzozosia i kiwając głową — zdrowa dzięki Bogu; a jakto pan zaraz o niej pamiętał wprzód niżeli o rotmistrzu, i spytał o nią! Oj! coś ja wiem!

— Cóż takiego? — zaśmiał się Sylwan.

— Hrabia podobno poznał się na naszym skarbie.

— Jakto pani domyślna jesteś! — kończył młody hrabia na wpół szydersko.

Pochlebiło to Brzozosi, która żywo dodała:

— O! o! mnie nie oszukać! Z pierwszego razu powiem panu, widziałam to jasno, bo prawdę mówiąc, do takich rzeczy nie ma jak mój wzrok.

Sylwan serdecznie się śmiał znowu i podchwycił:

— Kochana pani, cóż z tego wszystkiego, kiedy podobno rotmistrz złem na mnie patrzy okiem.

— A! uchowaj Boże — odparła Brzozosia — i owszem i owszem: z estymą, z szacunkiem, ale widzi hrabia, jemu się i nie śni, żeby co z tego było; a ja zaraz taki mówiłam i mówię, że to już widać przeznaczenie.

Sylwan się zastanowił, bo tak dalece zabrnąć sobie nie życzył.

— Byłbym pani bardzo wdzięczny — rzekł zbliżając się i szepcąc do ucha Brzozosi — żebyś też pani chciała mi dopomódz... Pani to już wiesz, że bardzo, bardzo podobała mi się panna Franciszka, ale ojciec tak trudny; w domu tak się rzadko widywać możemy swobodnie.

— Z całego serca, z całego sercabym panu dopomogła — odparła dumna tem, że tak wielką brała na siebie rolę Brzozosia — ale jak?

— Już to pani wiedzieć będziesz lepiej.

— Ojciec straszny impetyk i niezmiernie ją kocha, jak się uprze, jak się uprze, ani go przekonać. Ja mu to już ciągle powtarzam, że niewiedzieć co robi, że córce los zagradza, ale stary swoje; jak kozioł proszę pana, choć poczciwy z kościami.

— Jednak możeby to jako można widywać się tak, żeby on o tem nie wiedział.

— Hm! hm! powiem panu! to potrzebaby nad tem pomyśleć... trudno doprawdy, a nie wiem czyby się i Frania na to zgodziła. Chociaż, powiem prawdę, ona

na pana dosyć łaskawem okiem patrzy, bo mnie nie oszukać, ja to widzę.

— Tak pani sądzi?

— Tak! tak! Ale to posłuszne dziecko; gdybyś pan popróbował jeszcze starego ukołysać.

— Widzi pani, że to prawie niepodobna.

— Z czasem, powoli; zresztą niechno ja pomyślę coby się dało zrobić — szepnęła Brzozosia i zamyśliła się.

Sylwan porozumiał zaraz że to namyślanie pewnie oznaczać musiało chęć wytargowania zapłaty, i już się zabierał wystąpić z przekonywającym argumentem, gdy Brzozosia widząc zmierzch nadchodzący, a pomiarkowawszy nagle, cobyto ludzie powiedzieli, żeby ją o mroku z kawalerem sam-na-sam w lesie zobaczyli, szybko pożegnała hrabiego i uszła biegiem prawie, taki ją strach o własną reputacją ogarnął.

Sylwan popędził za nią spytać, kiedy ją będzie mógł spotkać. Odpowiedziała mu żywo: — pozajutro — i szybko pospieszyła ku domowi, przerażona niebezpieczeństwem, w jakie dobrą swą sławę podała niebacznie.

— Otóż ślicznie! — mówiła po drodze idąc, cała zdyszana i w płomieniach — ani mi do głowy przyszło co ludzie mogą powiedzieć! Całe życie, chwała Bogu uczciwe, mogłabym stracić w jednej chwili, przez nieuwagę i trzpiotowatość, która się jeszcze mnie trzyma! Śliczna rzecz! Prawdziwie dziwuję się sobie, tak być nieostrożną! tak nieostrożną! Boć i dawniej, prawda, choć mi się podobał, choć nie bez tego, żeśmy się z sobą schadzali, ale to przyzwoicie, tak, że i najgorszy z ludzi nic na to nie mógł powiedzieć...

Noc szybko nadchodziła.

Przerażona niezmiernie dobiegła do domu Brzozosia, w rozmysłach co począć. Natarczywość Sylwana, jego propozycje, przyszłość Frani którą jej miała być winna, wszystko to chodziło po biednej rozmarzonej głowie, nie dając się rozwikłać i ułożyć. Nie mogła znaleźć środka, żeby wszystkich żądania i strachy, a przyszłość Frani pogodzić. Chciała dopomagać i nie miała odwagi, bo wiedziała jak rotmistrz tajemnic nie lubił, intrygą się brzydził, i chciał, by każdy uczynek miał świadkiem ludzi i słońce, by się z każdego jasno i głośno wytłumaczyć, nie rumieniąc, można. Iść przeciwko jego woli było niebezpiecznie, zresztą nie wiedziała dobrze, co o tem wszystkiem pomyśli Frania, i najpilniej jej było powróciwszy, wejść do pokoiku wychowanki z tajemnicą, która już dokuczała jej jak wstrzymana czkawka.

Siadła na kuferku naprzeciw Frani i odchrząknąwszy poczęła:

— Jaki to był śliczny wieczór, moja duszko!

Ale z oczu jej widać było, że nie o wieczorze mówić miała.

— Gdzieżto była Brzozosia?

— Chodziłam moje serce do pasieki, ale się nie roją... i wracając...

— Coś się trafić musiało, boście się przypóźnili?

— Wyobraź sobie, ale...

Przerwała, i spoglądając na Franię:

— Może ci lepiej nie mówić, ty zaraz przed ojcem wypaplasz.

— Cóżto, kochana Brzozosiu? co? ja nic nie powiem. Pewnie gnilec w pasiece!

— Ale gdzietam mnie gnilec w głowie. Nie powiesz ojcu?

— Jak nie zechcesz, nie powiem. Wydarli pszczoły?

— A jej pszczoły tylko na myśli! Otóż żebyś wiedziała, żem się spotkała i mówiła; zgadnij z kim?

— Kiedy każesz mi zgadywać, to pewnie z hrabią?

— Jakbyś tam była; widzisz, otóż ci powiem, że mnie nie oszukać; jak Bóg Bogiem, tak się w tobie zakochał.

Frania trochę się zarumieniła, boć i najobojętniejszej taka wieść nie obojętna, a pierwszy raz posłyszeć to miło; i Frania miłość Sylwana wcale inną wyobrażała sobie, niżeli była w istocie.

— Doprawdy! on we mnie! To być nie może, Brzozosiu: hrabia taką jak ja szlachcianeczkę...

— Otóż widzisz, że kiedy ja co mówię, to tak jest koniecznie; żebyście mnie słuchać chcieli, ale to z upartemi rady nie ma. Ojciec twój wszystko psuje. Gdybyś chciała Franiu, gdyby ci serce mówiło... można by coś i bez ojca zrobić... Ot przyznaj mi się, kochasz go? no! powiedz!

Frania znowu jak jabłko się zarumieniła, zaczęła się śmiać, ukryła twarzyczkę, potem zamyśliła się, potem szeptała coś porąc frezlę od chusteczki, tak, że nic posłyszeć nie było można; wreszcie gdy Brzozosia coraz żywiej nacierała, usiadłszy przy niej na stołeczku, tak mówić poczęła prawie do ucha:

— Cóż-bo ty moja Brzozosiu nazywasz kochać?

— A to doskonale! Udajesz Franiu, czy co?

— Nie udaję wcale, ale posłuchaj Brzozosiu. Czytałam kilka książek co mi z Kudrostawu pożyczali, tam dziwnie jakoś opisują kochanie; a widzicie...

— Ale mów-bo serce wyraźniej, co książki mają do hrabiego?

— Posłuchajcieno tylko uważnie — szeptała Frania. — Lubię i tego, i tego, i tego; i ten mi się zdaje piękny, i tamten ładny, i ten zabawny i drugi; ale żebym miała kogo nad innych przenosić i za nim więcej tęsknić i marzyć, to nie.

— Jakto może być! — łamiąc ręce zawołała prawie przestraszona Brzozosia.

— On mnie dosyć bawi, lubię na niego popatrzeć; pośmiać się z nim; ale nie tęsknię, nie rozpadam się za nim. A kiedy się kto zakocha, to tak być musi..: nie prawdaż?

— Ale czyżto być może!

— Czyżbym ja przed tobą kłamała? — odparła Frania.

Brzozosia mocno się zadumała, zażyła tabaki, utarła nos, odpędziła faworytę kotkę, i pokiwawszy głową spytała:

— A któż ci się u licha podoba, jeśli nie on?

— Alboż ja mówię że mi się nie podobał?

— Ale ja byłam pewną, że ty o nim tylko myślisz i dumasz.

— Nie, Brzozosiu! Powiem ci nawet szczerą prawdę, czasem, czasem... wydaje mi się aż śmieszny...

— On! on! — zakrzyknęła porywając się rezydentka.

— Śmiejcie się ze mnie kiedy chcecie, cóżem ja temu winna? Doprawdy że pan Jan z Zawiłowej daleko pokaźniejszy od niego, i jak mówi jest czego posłuchać, bo w słowach gra dusza; a i ten mi przecież głowy nie zawróci...

— No! to już nie wiem kto ci się podoba — rzekła smutnie Brzozosia — widać że to chyba nie przeznaczono. Ale kabała nie może skłamać...., Bywa to czasem, że tak człowiek do kogo długo serca nie ma, a potem raptem.

— Może, gdybym go lepiej poznała.

— A tu ojciec i temu drogę zagradza.

— Ojciec wie co robi, Brzozosiu.

— Między nami mówiąc, stary gdera i tchórz. Coby to szkodziło pozwolić mu bywać?

— Ojciec wie, że z tego nic być nie może.

— Otóż w tem się myli, bo kawaler po uszy zaszłapał, onby się i dziś ożenił.

— Ale ojciec...

— E! ojcowie zawsze potem błogosławią.

— Wolałabym nie potem, ale przedtem...

Brzozosia ruszyła ramionami i nic już więcej nie powiedziała; a Frania, choć była ciekawą co jej Sylwan mówił, nie dopytywała się, wiedząc że się z tem później wygadać musi.

To pewna, że całą noc marzyła, dumała, roiła sobie dziwy dziewczyna; Brzozosia marzyła także; a hrabia już się cieszył zwycięztwem, i zawczasu drwił sobie ze szlachcica.

— Cóżbyś ty na to powiedziała — odezwał się tego samego dnia hrabia Zygmunt-August do córki — gdyby pan Farurej chciał się starać o ciebie i to życzenie oświadczył?

Zdawało się ojcu, że wielką powie Cesi nowinę, i zawczasu rachował na jej potężne zdumienie; ale jakże się zdziwił, gdy młoda panienka bez najmniejszego zmieszania spokojnie i śmiało mu odpowiedziała:

— O! o temby potrzeba pomyśleć.

— Wprawdzie — dodał prędko hrabia, zapobiegając zarzutom — nie jestto już pierwszej młodości człowiek.

— Ani drugiej nawet — odpowiedziała Cesia obojętnie — ale cóżto znaczy?

— Miły, dobrze wychowany, dobrze urodzony, wiele widział świata, i bogaty...

— Czy w istocie znowu tak bogaty jak mówią? — spytała Cesia.

— Najistotniej! Dowiadywałem się i wiem dokładnie; dawny majątek nadrujnowany, to prawda, ale jeszcze piękny, a ze świeżą sukcesją uczyni przeszło trzy miliony fortuny czystej, nie licząc remanentów prawdziwie pańskich... Same sławne srebra jego liczą na parę kroć sto tysięcy...

Cesia się zamyśliła, wołałaby zapewne z ową milionową fortuną innego męża; ale i Farurej miał swoję dobrą stronę. Stary, musiał przecie czemś zapłacić za swoję starość, musiałby zrobić zapisy, dogadzać upodobaniom, nadskakiwać, a w ostatku prędzej mógł od siebie uwolnić niż kto inny. Hrabia też wcześnie to sobie ułożył, i zbogacając Cesię przewidywał, że wkrótce będzie wolna a bogata, że wyjść może później za mąż za jakie gołe książątko, a nimby to doszło do skutku, ojciec naturalnie zarządzałby majątkiem... Nieszczęściem te rachuby opierały się głównie na latach i zdrowiu Farureja; a nic zawodniejszego nad życie ludzkie, ci najczęściej giną sami, co ze śmierci cudzej korzystać się przygotowują. Śmierć, filutka, płata figle najniespodziewańsze, jakby ją to bawiło...

Sylwan był też bardzo za tem małżeństwem, była za niem potajemnie i matka, choć dla utrzymania swego urzędowego charakteru sprzeciwiała się zlekka, dowodząc, że z dziecka dla widoków pieniężnych ofiary czynić się nie godzi.

Cesia tymczasem, jakby pierwszy starający się o nią jawnie był dla niej oznaką emancypacji, patentem dojrzałości, spoważniała wielce, nabrała pewnego tonu i głęboko zdawała się namyślać. Troszkę kochała Wacława, ale to w jej przekonaniu nie przeszkadzało zamążpójściu za starca; między miłością i poświęceniem się dla niej, a życiem swobody i dostatku, wybór był łatwy przy takiem jak jej wychowaniu i przykładach, nie wahała się też wcale. Lecz mając iść za starego, chciała by był bardzo stary, i troskliwie wypytywała, czy istotnie ma tyle lat ile mu przypisywano, i tyle majątku.

Ojciec, który się spodziewał oporu i gotował do walki, zdumiał się, widząc ją przygotowaną zupełnie i wyprzedzającą niejako jego żądania.

— Ma rozum — rzekł w duchu — nad lata! nad lata! nie byłaby dzieckiem mojem! Coto za wytrawność i kalkulacja *zdrowa!* a nie ma jeszcze lat dwudziestu!!! a wychowane to na wsi!! Ho! ho! trząść będzie światem, byle nań wyjrzała!...

Za drugą bytnością w Denderowie widocznem już było, że Farurej od wszystkich nadzwyczaj dobrze przyjmowany; od panny najlepiej jak być może, uwięźnie na lep i da się usidlić. Starzec sądząc, że to zwycięztwo winien był sobie tylko, wybornemu tonowi, dowcipowi, udawanej swej młodości i pokostowi paryzkiemu, którym był okryty, uszczęśliwiony do szału, padał przed Cesią z takiemi oznakami najszaleńszej miłości, że przytomni jej wybuchom, ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Cesia dowcipowała z nim, ochoczo dotrzymując mu placu; zachwycała go przytomnością umysłu, wesołością i tonem, jakich w tak młodej panieneczce ani się mógł spodziewać. Nie chciał w tem wszystkiem widzieć grudniowy zalotnik jawnego przecie zepsucia i chłodu.

Za trzecią czy czwartą bytnością, Farurej zupełnie oszalał, obałwaniał, i gotów już był siebie i wszystko co miał oddać tej czarodziejce. Hrabia patrzał jakby nie widział; hrabina pomagała nieznacznie, stękając na ofiarę; Sylwan, w nadziei łatwej pożyczki pieniędzy od przyszłego szwagra, pochlebiał mu, przybrał za przyjaciela, za powiernika, i zręcznie jak równego traktował.

Nic bardziej starcowi pochlebiać nie mogło. Sku-

tkiem całej tej komedji, Farurej wyobraził sobie, że istotnie odmłodnieć musiał, że wiek jego dla wszystkich był tajemnicą, a niebytność długa rachuby kalendarzowe pomieszała. Płochy jak dwudziesto-letni młodzieniec, gotował się do ofiar największych, byleby na swojem postawił, byle ubóstwionej Cesi rękę otrzymał.

Cesia wpół śmiejąc się, wpół płacząc patrzała na przyszłość: wśród jej obrazu Wacław migał przed nią smutny, milczący i cichy, ale stały. Nie mogła obejść się bez niego, odpędzała natręta napróżno, w końcu mówiła sobie: — Będzie z nami, przy nas, ze mną! Lecz byćże on zechce, gdy zostaniesz żoną tego starca, przedając mu się tak ohydnie? — pytał głos wewnętrzny. — Musi! odpowiadała — ja każę i przyjdzie!

Po podbiciu Farureja, o niczem już nie wątpiła, chociaż to było łatwe zwycięztwo; ale pierwsze taką daje odwagę, w taką wbija pychę! A to był pierwszy tryumf, na który ludzie patrzyli.

Jakkolwiek śmieszny swą pretensją do młodości Farurej, z innych względów był postacią wielce niepospolitą dla nas, bo u nas wszystko, co sie choć potarło o obce, co trąci zagranicą, co przybywa przesiąkłe cudzoziemczyzną po długiem dobrowolnem wydaleniu, wyższem się i doskonalszem wydaje.

Żartowano z niego trochę, ale go naśladowano: jego powozy, konie, zaprzęgi, ubiory, urządzenie domu, służyło za wzrór dla drugich, a zwłaszcza dla młodzieży Farurej, dobry koleżka, otaczał się nią chętnie, sprawiał baliki, prawił cynizmy, i grał rolę młodzika, pomimo podagry i reumatyzmów bez liku, z natchnieniem i żywością niepospolitą.

W sąsiedztwie, choć zazdrość kazała szydzić z niego, wszyscy sarkali, że tak *piękna* partja dostanie się dumnej, zimnej, szyderskiej, nieznośnej hrabiance. Tyle panienek jeszcze młodszych gotowe były poświęcić się i uszczęśliwić starego rozpustnika. Niestety! dziś nawet u młodziutkich panienek, któreby dawniej za skarby świata nie zaślubiły starca, jedyna modlitwa, jedyne życzenie, znaleźć bogatego a schorzałego paralityka, i sprzedać się, byle drogo. Serca nie ma! Są głowy i rachuby, poczynające się w latach piętnastu, gdy samo serce bićby tylko powinno!!

Cesia tedy codzień widoczniej zwyciężała. Cieszyli się po cichu rodzice, a Sylwan na rachunek tego co tydzień pożyczał u Farureja, skarząc mu się na skąpstwo ojca i potrzeby młodości.

Tymczasem Zygmunt - August Dendera wikłał się coraz głębiej w interesa, usiłując wykłamać byt swobodny i bogactwo, które uciekło. Szło mu w istocie najgorzej, ale nikt o to nie mógł go posądzić; opłacano z rzetelnością niewidzianą procenta i zażądane kapitaliki, dawano szumne bale, dom na świetniejszą niż kiedy podniesiono stopę. Imieniny, Nowy rok, zapusty, obchodzone zwykle szumnie, teraz zapraszając dokoła, z muzyką wytworną, ze szczególnemi wymysłami, zabierano się solemnizować. Kredytorowie zdumieni, osłupieli: nie pojmowali co się to dzieje; ale gdy klucz Słomnicki skonfiskowano, a to nie ustawało; gdy hrabia równie wesołą twarz zawsze ukazywał, prawił o spekulacjach, płacił nie wypraszając się, i nie tylko nie począł się oszczędzać, ale wspanialej jeszcze występował, powiedziano sobie, że musi mieć kapitały, że ma tajemne sumy na bankach. Ci nawet, co go najlepiej

znali, jak Smoliński, zdumieni zuchwalstwem, niedowierzali oczom, i zawahali się w przekonaniu o grożącem bankructwie.

Sylwan cały zajęty swoją przyszłą zdobyczą, pospieszył do Wulki, i stawił się w terminie na rozmowę z Brzozosią, wcześnie przygotowany do datku, który sądził nieuchronnie potrzebnym dla pozyskania jej względów. Ale ostatnia rozmowa z Franią wielce zachwiała przekonaniem Brzozosi, i dała jej do myślenia: przypuszczać poczęła, że wychowanica jej nie kochała hrabiego, a namawiać nie umiała. Cała nadzieja jej była w tem, że Frania się rozkocha, a hrabstwo i bogactwo przy młodości i ładnej twarzy muszą ją chwycić za serce.

Idąc do lasku, Brzozosia postanowiła sobie wybadać pilnie młodego hrabiego o dalsze jego zamiary, czyby się nie chciał zaraz ożenić? nie pojmowała bowiem w prostocie niepokalanej ducha innej intrygi, tylko przyspieszającą co najrychlej wiekuiste połączenie. I gdy Sylwan spieszył z myślą nakłonienia jej, aby mu pomogła do zawiązania tajemnych z Franią stosunków, ona po prostu i po staroświecku chciała go ożenić, choćby mimo woli ojca, byle tylko co najprędzej. Kabała dawała jej ufność, że zwycięży, i że Frania będzie szczęśliwą.

Zeszli się prawie w tem samem miejscu, co wprzódy; a Brzozosia, cała drżąca, żeby jej kto nie zobaczył, zwłaszcza rotmistrz, którego się obawiała jak ognia, postanowiła z góry stanowczo zapytać hrabiego, kiedy wesele?

Byle Frania za niego poszła, mówiła sobie, to się kochać muszą, i będą szczęśliwi....

— Cóż tedy? — zapytał żywo Sylwan, wyglądając jak najpomyślniejszej odpowiedzi.

— A cóż, panie hrabio! — odparła Brzozosia, oglądając się — mówiłam z Franią, ale to gołąbiątko zwyczajnie, ani wie samo co się w jej serduszku dzieje; a ja widzę, że hrabiego kocha i kochać musi.

— Ale jakże się przybliżyć, poznać lepiej?

— No! a hrabiaż ją kocha? — spytała Brzozosia.

— Jak! pani nie uwierzysz?! — zawołał z zapałem.

— No! to chwała Bogu! Już na siebie biorę księdza i ułatwienie ucieczki; pojedziemy nocką do kościoła, proboszcz ślub da, a rodzice muszą przebaczyć.

Sylwan stanął osłupiały i zastygły.

— Jakto? — rzekł powolnie, cofając się — ależ my jeszcze... nie dosyć się znamy!

— Jakto niedosyć, kiedy hrabia ją kochasz? — spytała Brzozosia.

— Trzebaby się nam częściej i swobodniej widywać.

— Na co? — przerwała stara panna — co tu darmo czas tracić. Ot, brać zaraz ślub i po wszystkiem; będziecie się potem sobie widywali po całych dniach, ile zechcecie.

Hrabia oziębł bardzo, zmieszał się, nie wiedział co mówić, czuł, że się złapał; chciał mowę zastąpić czynem wyrazistym, i podsunął zręcznie rulonik złota w rękę panny ciwunównej.

Trudno opisać co się stało z Brzozosią na widok tego zwitka, którego w początku zrozumieć nie mogła; a domyśliwszy się znaczenia po wadze, z krzykiem jak gadzinę upuściła, odskakując na kilka kroków. Zała-

mała ręce, oczy jej zapaliły się gniewem, i jakby światło jakie nagle ją oblało, cofnęła się ze zgrozą od skonfundowanego młokosa, który zapóźno pomiarkował, że głupstwo zrobił.

— A to tak mości hrabio! — zawołała trzęsąc się cała — to ty myślisz, że ja ci moje dziecko sprzedam? Chciałoby się kupić moję poczciwość za złotko! Coto waćpan myślisz sobie, żem lada sługa, żem jaka przedajna!...

Gniew aż jej mowę zatamował; hrabia poczynał się tłumaczyć, bąkał, czerwienił się, ale stara panna raz puściwszy wodze językowi, silnie obrażona, upamiętać się nie mogła.

— Waćpan myślisz — wołała — żeśmyto hołysze, których można kupić i okpić jak się podoba, dlatego żeś ty hrabia!! Chcesz się żenić, to ci pomogę, ale nie za pieniądze; a jeśli myślisz tylko zwodzić, to ci się z nami nie uda, ja pierwsza ci oczy wydrapię... Choć w cycowym szlafroczku chodzę, ale twoich pieniędzy nie potrzebuję...

Widząc że nie żarty, podniosłszy rzucony rulonik, hrabia zaciął usta z gniewem i odstąpił wściekły, dosiadając konia co żywo; ale nim się potrafił oddalić, posłyszał tyle, ile w życiu jeszcze nie zdarzyło mu się od nikogo, i ze zmytą głową poleciał do domu.

Brzozowska zdyszana, zgniewana, trzęsąc się jeszcze cała od niepohamowanego wybuchu, powróciła do Wulki, i trafiła na Kurdesza w ganku, odmawiającego właśnie pacierze na książeczce. Postrzegłszy ją, stary poznał, że się jej coś trafić musiało, i śmiejąc się zapytał:

— A co tam? czy nie lisy złapały czubatą kurkę? może wilk zdusił jagnię panny ciwunównej? Coś się

musiało stać okropnego, boś widocznie poalterowana moja Brzozosiu!

Nie zebrała się jeszcze co odpowiedzieć rezydentka, gdy Kurdesz dodał:

— Ale bo widzę wracacie z gaju?

— A z gaju, z przechadzki — odpowiedziała.

— Czy ci się co, uchowaj Boże! trafiło?

— Nic! nic! — zimno, przychodząc do siebie i pragnąc się co najrychłej ukryć w kątku, odpowiedziała.

— Jakto nic? ależ widzę, że panna albo postraszona albo rozgniewana.

— Niewarto o tem mówić — mruknęła uchodząc.

Frania nie potrafiła nic z niej dobyć, prócz kilku słów pogardy dla hrabiego.

Sylwan po tej wycieczce upokorzony do ostatka, postanowił i zaprzysiągł sobie rzucić zupełnie niewczesne staranie o Franię. Bolał srodze ze wstydu, ale rozumnie ukrył swoje strapienie wewnątrz siebie i milczał.

Tymczasem Wacław z panią podsędkową przybył do Kudrostawu, gdzie zaraz pilno im było wszystkim pochwalić się nowem nabyciem. Zgodzono go bardzo się targując za lichą pensyjkę; zawarowano, żeby uczył chłopców czego tylko można i jak najwięcej; zastrzeżono, żeby fortepianu nie psuł swojem klepaniem i nie grał na nim, tylko gdy go przy gościach prosić będą, a dla siebie raz na tydzień w niedzielę (co go najwięcej kosztowało); kazano mu stać w niewygodnej i wilgotnej izdebce, ledwie że nie odmówiono pierwszych potrzeb życia; tak zdawało się Dębickim ciężką rzeczą to przyjęcie jego do synów, ale razem chciano się nim chlubić

i popisywać jak najwięcej. Poszły więc wieści o metrze po sąsiedztwie, których trąbą był Cielęcewicz, głoszący iż Dębiccy przyjęli nauczyciela muzyki do dzieci, dawnego wychowańca hrabiów i metra hrabianki, że mu ogromną płacą pensję, itd. itd.

Pierwszy, który te wiadomości przywiózł do Denderowa, był rotmistrz Powała; rzucił ją wśród gwaru towarzystwa ze śmiechem, i wprost doszła do uszu Cesi. Nie zarumieniła się wcale, nie zdziwiło jej, uderzylo jej tylko serce tajemnie, i powiedziała sobie: — Wrócił, bo się do mnie chciał przybliżyć.

Ale cóż mi tam — dodała — jakiś biedny nauczyciel, choć podobno oszalał za mną! Niepodobna, żeby się tu kiedy nie zjawił; przyjmę go zimno i ostro To zuchwalstwo!

Hrabia dowiedziawszy się o tem, brew marszczył, i zdawał się widocznie czegoś niespokojny i kwaśny.

— Miał jechać do stolicy — rzekł — lub zamieszkać w Żytkowie, w Kamieńcu; po cóż tu znowu powraca, to nie ma sensu! Muszę go zobaczyć i dobrze mu zmyć głowę.

W tem ktoś począł się rozwodzić szczerze nad dobrodziejstwy wyświadczonemi przez hrabiego dla Wacława, a stary Dendera odwrócił się chmurny, i jakby przez uczucie skromności przerwał:

— Nie mówmy o tem, nie warto!

Widocznie był przecież zmieszany i nie rad wiadomości.

Wacław w Kudrostawie nie łacno oswajał się z obcym domem i ze służebnictwem swojem. Dom teżto był oryginalny, jakich i u nas niewiele, choć nam na oryginałach nie zbywa. Państwo podsędkowstwo Dębiccy,

świeżo zbogaceni, chciwi wnijścia w gronc obywatelstwa, łączyli skąpstwo dawne z wystawą, której, wedle ich wyobrażeń, nowy stan wymagał. Przepych ten szlachecki, niesmaczny i śmieszny, zamiast podnosić, poniżał ich jeszcze i wystawiał na szyderstwo, którego się dopatrzeć nie umieli; bo wszystkie urągowiska bral za pochwały, nie dopuszczając myśli, by z nich szydzić się kto ważył.

Gorzki to chleb cudzy, gorzki to dach obcych, choćbyśmy nie z łaski jedli, nie z łaski mieli schronienie choćby za nie płaciła i nadpłacała praca; zawsze to ciężkie życie najemnika! Tym, którzy nas przypuszczają do swego stołu, do swojego domu, zdaje się często, że żaden wysiłek i poświęcenie nie potrafi opłacić ich wielkiego wyświadczonego nam dobrodziejstwa; a nam widzi się zawsze, że praca nasza więcej jest warta nad płacę. Ciężko jest być sługą, cóż dopiero stanąć na tem stanowisku wątpliwem, co dzieli sługę od ubogięgo przyjaciela? Mając do czynienia z ludźmi bez serca, nieustanna się toczy walka; i oni chcą, byś był ich sługą, ty chcesz pozostać niepodległym. Właśnie w takiem położeniu był Wacław u Dębickich, którzy z niego wszystko mieć chcieli, pewni będąc, że za ich trochę pieniędzy, powinni byli całego kupić sobie człowieka, że za nie sprzedał im się bez wyjątku! Każdą jego wolną chwilę uważali za skradzioną sobie, i jak skąpiec, co zapłaciwszy śniadanie w garkuchni, zjada do ostatniej chrząstki, choćby się miał rozchorować, tak oni wszędzie, do wszystkiego, ciągle posługiwali się radzi Wacławem. Oprócz lekcji muzyki, musiał być nieustannie na ich rozkazy: sam pan posyłał go do miasta powiatowego po obiedzie, gniewając się, jeśli na lekcję

ranną nie powrócił; proszono go o robienie rachunków, o dozór nad ludźmi, o posługi najnudniejsze i najprzykrzejsze, nie mając względu na to, że go niemi męczono. Powinien się był czuć szczęśliwym, że im służył.

Pani Dębicka gdy mu dać raczyła drugą filiżankę herbaty, mniemała, że się obficie wywiązuje ze wszelkich względem niego obowiązków grzeczności. Biedneto i ciężkie było życie! Nieustannie na pokaz wyprowadzany, zmuszany do popisów, poniewierany i jak piłka rzucany Wacław, ledwie skosztowawszy swobody wiejskiej, rad się był z niej wydobyć co najrychlej.

Przywykły do pracy nad sobą, do dumań swobodnych, wreszcie niewolnik i wprzódy, ale ludzi lepiej umiejących pokryć swą władzę i w pewne formy odziewających absolutność, Wacław cierpiał boleśniej niż od najprzykrzejszego niedostatku.

Jedyną jego pociechą było wyrwać się na wolność, pochodzić, przedumać godzinę, marzyć o swojej sztuce i wielkich jej tajemnicach; a kilka książek, niemych przyjaciół, nad których lepszych nie mamy (chociaż i ci jak często zdradzają!), orzeźwiały go w zobojętnieniu upadłego na duchu.

Dom Dębickich był osobliwszego rodzaju. Pan i pani ekonomowali jeszcze na swojem, udając panów w potrzebie, a udając ich bardzo pociesznie. Oboje na pozór nie wdawali się w gospodarstwo, czasem nawet odegrywali obojętność na nie, ale ukradkiem szpiegowali obroty oficjalistów, męczenników ich nieufności, i znając rzemiosło doskonale, wszędzie szukali podstępu.

Sam pan podsędek wysoki, silny pachoł, z wąsem i bokobrodami rudawemi, udawał, że nadzwyczaj lubi gazety i towarzystwo; krzyczał bardzo głośno i bredził

śmiało; pobrzękiwał pieniędzmi, o których obfitości częste były wzmianki; sadził się na zbytki powierzchowne a żył z najobrzydliwszym skąpstwem. Mieli kocz, karetę, cugi, liberje, i guzy, i blachy złociste, ale ludzie u nich jedli bez soli, chodzili w domu bosaka lub w łapciach, a wieśniak pędzany, robił prawie od niedzieli do niedzieli i nazywał się chamem.

Wzniósłszy się nad swój stan pierwotny, Dębiccy mniemali się już tak wysoko, że wszystko co od nich niżej stało w hierarchii socjalnej, uważali za niegodne wejrzenia, za tak liche, za tak nikczemne, iż to się ledwie człowiekiem godne było nazywać. Można sobie wyobrazić jak uważali Wacława, zmuszonego służyć im dla kawałka chleba.

Z wyższymi, choć parli się na stopę równości, oboje państwo przechodzili nieustannie z dumy i zarozumienia do mimowolnych upokorzeń. Trafiało się naprzykład, że Dębicki wstawał na wnijście każdego i ustępował miejsca lada tytulikowi; ale bywało także, iż aż do niegrzeczności posuwał dbałość o utrzymanie się na mniemanem stanowisku, z którego prerogatywami nie był jeszcze oswojony. Nie każdy panem być może kto chce.

Dom odpowiadał ich charakterowi i sposobowi życia: byłoto niezgrabne naśladowanie tego, co widziano gdzieindziej, bez zastosowania do miejsca i potrzeby, a nadewszystko bez smaku. Dziedziniec niby angielski pstrzyły dokoła budowle malowane i herbowne, sztachety wykwintne różnych rodzajów, jedne od drugich niezgrabniejsze i ozdoby pocieszuie naiwne. Ogród spacerowy kompozycji samego pana, ubierały altanki i ławki w osobliwszym guście. Salon z meblami Testorego i Bajera w każdym kącie inną miał fizjognomją;

nie potrzebujemy mówić, że wszystko chodziło w kapkach i starannie oszczędzane, od gości się tylko demaskowało. Świecidełek i błyskotek nie żałowano, a przy każdej zręczności cena lada fraszki obić się musiała o uszy tych, których najmniej obchodziła; domowi powtarzaniem nauczeni, wiedzieli najdokładniej ile nawet tafelka w posadzce zapłacona była.

W takimto domu na pierwszą próbę skazanym był Wacław, nie znalazłszy w nim żywej duszy, coby się z nim biedą tą podzielić chciała, coby uczuła jego cierpienie; owszem wszyscy jeszcze zdawali mu się wymawiać jego *szczęście.*

Wacław przywykły do znoszenia, spokojnie, z uśmiechem spełniał obowiązek, i wypijał do dna gorycze tego kielicha służebnictwa. Po dwóch blizko miesiącach pobytu w Kudrostawie, na prośbę jego chętnie mu dozwolono pojechać do Denderowa, a była to zręczność pochwalenia się końmi i powozem; dano mu cug gniady i kocz paradny, po tysiąckroć go przestrzegając, żeby nie powalał sukna i koni pędzić nie kazał, żeby się nie poupijali, żeby się co, uchowaj Boże! powozowi lub rumakom nie stało.

Nie bez jakiegoś uczucia przestrachu wyjechał Wacław do domu, w którym dzieciństwo i młodość przepędził; a obraz Cesi przelatywał przed łzawemi jego oczyma. Gdy ujrzał ogród, mury pałacu i miejsca uświęcone długiem cierpieniem, marzeniem, latami nadziei i boleści, w których się jeszcze pieścił przyszłością, biedny sierota zapłakał potajemnie.

Hrabia przyjął go kwaśno i na wstępie zapytał:

— Cóżto? słyszę powróciłeś z Żytkowa i zakopałeś się na wsi? Do czego to prowadzi?

Wacław opowiedział mu całą historją pobytu swego w mieście, i zwątpienie o przyszłości.

— Chcesz, żeby ci los przyniósł pieczone do ust gołąbki — ruszając ramionami odparł Dendera. — Tak się nigdy nie dzieje, trzeba walczyć, pracować i nieraz biedy przecierpieć. Najłatwiej sprzedać się za nędzny kawałek chleba; ale powtarzam, to prowadzi do ożenienia z garderobianą i zostania organistą.

Wacław zamilkł, czując się poniekąd winnym.

— Cóż waćpan myślisz? — spytał hrabia — długoż tu będziesz?

— Przynajmniej do roku.

Dendera pokiwał głową z wyraźnem nieukontentowaniem.

— Ha! rób sobie co chcesz! — odparł — ale cię przestrzegam, że jesteś na zupełnie fałszywej drodze: tracisz młodość i zginiesz marnie.

— Ażeby posunąć się dalej — pocichu rzekł Wacław — potrzeba środków, pomocy, pieniędzy...

— Tych ci nie dam — cynicznie odpowiedział Dendera — miałbym na sumieniu dłużej twojemu opuszczeniu się dopomagać, dosyć czyniłem dotąd; potrzeba samemu o sobie myśleć, a nadewszystko nie tu na wsi szukać sobie losu.

Wacław chciał odpowiedzieć, ale dano znać o przybyciu Farureja, i hrabia zabrał go z sobą do salonu, chcąc, by się pokazał żonie i gościom. Trochę był chlubny ze swego wychowańca, i czasem go tak wyprowadzać lubił, by wywołać pytania i napomknąć, co uczynił dla opuszczonej sieroty.

Wszedłszy zastali już hrabinę, Cesię, przy której, ze swą młodocianą miną a starą twarzą, pobielaną tylko na nowo, siedział Farurej, prawiąc jej francuzkie

grzeczności i wyuczone dwuznaczniki. Cesia zmieniona do niepoznania, pewna siebie, śmiała, mówiąca, wystrojona, opierała się od niechcenia na kanapie, wpatrując w bukiet, który jej ofiarował, bukiet kamelii i orchideów, przepyszny, nie wiem zkąd sprowadzony, ale zachwycających barw i woni. Wspaniała paulownia zajmowała środek tej ogromnej wiązki kwiatów, uderzając niewidzianemi kształty i rzadkością.

Gdy wszedł Wacław, Cesia zmierzyła go spojrzeniem, i postrzegłszy zbiedzonym, bladym, smutnym, nieśmiałym, ledwie się nie zawstydziła przed sobą, że jej z cicha uderzyło serce, że go poznała jeszcze. Kiwnęła mu główką z góry, ale tak pogardliwie, jakby rzucała jałmużnę ubogiemu, który ją ranami i kalectwem odstręczał. Hrabina, nielubiąca wychowańca, ledwie że go postrzedz raczyła; a Sylwan nie kryjąc z jakiem go lekceważeniem traktował, zapytał głośno:

— Cóż, słyszałem, że jesteś u Dębickich?

— Jestem w istocie — zimno odparł Wacław.

— Cha! cha! — roześmiał się stary hrabia — do czego to dziś przyszło: państwo Dębiccy uczą dzieci muzyki!

Wszyscy się roześmieli za gospodarzem, a biedny sierota zakłopotany, znalazłszy gdzieś w kątku miejsce, przysiadł się z bolem w sercu, schodząc z oczu. Takiego przyjęcia (choć mógł je przewidzieć), nie spodziewał się przecie, i wyglądał współczucia, miał nadzieję spojrzenia Cesi, jeśli nie mówiącego więcej, to litośnego przynajmniej. Ona przeciwnie, zdawała się wysilać na okazanie, jak daleko stali od siebie, jak obojętnym był dla niej, jak dziś wysoko myślą i nadzieją wzleciała.

Kilka godzin do wieczora przeszły wśród ogólnej

rozmowy, do której Wacław nie był przypuszczony; miał już odjeżdżać, gdy Farurej wreszcie ruszył się także, i trzpiotowato pożegnawszy towarzystwo, podskakując na cienkich nóżkach, zbiegł ze wschodów z Sylwanem; Wacław miał także kapelusz w ręku, gdy Cesia, tyłem stojąc do niego, odezwała się:

— Proszę poczekać! Chcę, żebyś mi pan zagrał!

Zawsze jeszcze posłuszny Wacław, rzucił kapelusz i zastanowił się.

— Siadaj pan i graj mi co chcesz! — kończyła Cesia, wpatrując się w swój bukiet i wyciągając niedbale na kanapie. — Cóżeś pan przez ten czas porabiał?

— Co zawsze, co tutaj.

— I zawsze, jak widzę, smutny, ponury bohater romansu...

— Doprawdy, nie mam się czem cieszyć; zresztą Pan Bóg mnie takim stworzył...

— A jużciż, przepraszam! — podchwyciła Cesia — choćby z miejsca u państwa Dębickich cieszyć się pan winieneś. A powiedzże mi, proszę — dodała śmiejąc się do rozpuku, ale śmiechem przymuszonym — jakże tam ci ludzie żyją?

— Jak ludzie.

— Prawda, że to są zbogaceni ekonomowie?

— Nie wiem ich przeszłości.

— A żałujesz ich pan i chcesz bronić?

— Nie, ale nic nie wiem.

— No, to graj pan, kiedy mówić zapomniałeś. Zobaczym, możeś i grać zapomniał także.

I rozkazawszy grać, Cesia przerwała zaraz pytaniem:

— Znasz pan tego gościa co wyjechał?

— Pierwszy raz go widzę.

— Ktoś bardzo miły! To mój narzeczony! — szepnęła ze śmiechem.

Wacław pobladł, schylił się nad fortepian.

— Pani sobie żartuje — rzekł zcicha.

— Nie! nie! doprawdy! i wczoraj mi się oświadczył; znajduję go bardzo dobrze. Nieprawda, że ma minę i świeżą, i młodą, i dystyngwowaną?

— Chce ją mieć, to prawda!

— O! i ma! Zresztą, to do pana nie należy. Graj pan!

Wacław grał znowu; Cesia mu przerwała:

— Więc zapraszam pana na moje wesele.

— Wątpię, żebym się pani przydał na co...

— Znajdę dla pana zajęcie — odparła — będziemy mieli tyle gości.

Wacław już sam grać począł; ale ona tupiąc nóżką, nie dała mu ciągnąć dalej, i krzyknęła:

— Dajże pan pokój temu graniu! nieznośnie klapiesz po fortepianie. Mów mi co o Dębickich, żebym się pośmiać mogła.

— Daruj pani, ale dla mnie to wszystko tak smutne!

— Pan-bo koniecznie chcesz grać rolę nieszczęśliwej ofiary! — zawołała śmiejąc się i topiąc w nim wejrzenie zimne, a kolące boleśnie.

Wacław porwał się oburzony, cierpiący; głowa mu pękała i serce się darło. Pochwycił za kapelusz.

— Czego się pan spieszysz?

— Kazano mi rychło powracać; jam się opóźnił.

— A więc powracaj pan sobie, kiedy mu tak pilno! Ale — dodała — pamiętaj, że masz przyjechać na moje wesele.

I rzuciwszy mu jeszcze to słówko, jakby go chciała

zranić najboleśniej, pożegnała skinieniem głowy smutnem, wejrzeniem wymownem, by niezupełnie odszedł zrażony, żeby cierpiał, a powrócił.

— Wszak do zobaczenia, nieprawdaż? do zobaczenia?...

— Nie wiem — rzekł Wacław.

— Ja chcę, ja każę, jak dawniej... — szepnęła cicho. — Zapraszam na wesele.

przymuszonym śmiechem dodała:

— Pan lubisz podobno rezedę? Otóż jej gałązka z bukietu pana Farureja; niech mu ona przypomni, żeś mi pan dał słowo być na mojem weselu.

— Będę pani — odpowiedział Wacław, zbierając się na siły — będę pewnie!

Wyraz, z jakim to wymówił, blask jego oczu, łza, co się w nich widocznie kręciła, przeraziły i poruszyły Cesię; chciała go jeszcze zatrzymać i ukoić, ale wybiegł szybko, i żywy tylko chód po wschodach słychać było: uciekał.

Ciemnym zmrokiem pożegnawszy hrabiego, który naglił, żeby się z tych stron oddalał, i Sylwana, który pogwizdując rzucił mu obojętne *adieu*, sierota pospieszał do powozu stojącego u bramy, gdy licho odziany człowiek, stary i siwy, oglądając się do koła, zbliżył się ukradkiem do niego.

Wacław myślał, że to był żebrak i dobywał pieniędzy, ale wieśniak schwycił go za rękę, i popatrzywszy mu w twarz, zapytał:

— To wy Wacławek?

— Co chcesz mój stary? to ja.

— To wy, syn tej biednej kobiety, co to na pasiece umarła... co to graf wziął was na opiekę?

— To ja, mój kochany.

— A! to wy! — powtórzył wieśniak kiwając głową. — A gdzież teraz mieszkacie?

— W Kudrostawie, mój kochany. Lecz co chcecie odemnie?

— Nic, nic — odpowiedział stary oglądając sie ostrożnie na wszystkie strony — nic, tak, to ja was tylko chciałem zobaczyć, bo to ja was dzieckiem hodował — i cicho dodał:

— Jedźcie-no już, jedźcie, zobaczymy się.

To powiedziawszy zawrócił się i uszedł.

Spotkanie to, słowa i wejrzenie tajemnicze przerwały nowem wrażeniem pasmo uczuć podrażnionych, przed chwilą żywą boleścią napełniających serce sieroty. Wacław wsiadł do powozu ciekawy, zajęty spotkaniem, przeczuwając że ono dla jego przyszłości obojętnem być nie może, i pojechał milczący i rozmarzony do Kudrostawu, gdzie zaraz na pierwszym wstępie obsypano go pytaniami o powóz i konie, potem o przyjęcie u hrabiów, o nich samych, o dom, zwyczaje itd. Dębiccy niczego tak ciekawi nie byli jak pańskich obyczajów, bo też je małpować musieli po swojemu.

Wacław niewiele ich nauczywszy, odszedł szybko z wielkiem zgorszeniem obojga państwa by spocząć, gdy właśnie spodziewali się, że za dzień im odkradziony zapłaci, poświęcając cały wieczór usłudze koło dzieci i przypodobaniu się łaskawemu państwu.

— To — rzekł Dębicki kwaśno po jego odejściu — jakiś bardzo góro-nos kawaler, udaje obywatela, choć jakiś znajda, sierota! We wszystkiem mu dogadzają a jeszcze nie raczy. i pogadać; potrzeba się tu inaczej wziąć do niego.

— Nie bój się, ja mu prawdę wypalę otwarcie — zawołała pani, która się w takich sprawach i w ogólności we wszystkiem uważała za wyższą od męża z powodu, że się bliżej o panów otarła — potrafię ja go upamiętać co nam winien, i przypomnieć mu kto my jesteśmy, choć nie hrabiowie... a zresztą jeśli nie zechce służyć jak należy, jedząc nasz chleb, no to szczęśliwej drogi, niech sobie rusza.

— A! stój Kasiu! — przerwał Dębicki — między nami mówiąc, byłoby to najgorzej; a coby to ludzie powiedzieli? Że nie my go odpędzili, ale on nas porzucił; dla reputacji domu niechaj będzie.

— No! a jeśli tak ciągle nosa będzie zadzierać?

— To już jakkolwiek do roku dokołaczemy, inaczej rozsławią, że u nas i roku wybyć nie można.

— A czegożto dbać o ludzkie gadanie?

— Zapewne. Ale znowu z drugiej strony — odezwał się Dębicki — lepiej nie dawać powodu do szkalowania.

Nazajutrz rano miała się zaraz pani Dębicka wziąć do Wacława przy lekcji fortepianu, przyszła nawet i przeszła przez pokój; ale smutna fizjognomia muzyka, jego chmurne czoło i jakaś wyższość, której przewagę uczuła, zniewoliły ją odłożyć na potem wymówki. Jakoż i sam pan bardzo niespokojny, był za tem, a Wacław pozostał, o niczem nie wiedząc, spokojnym.

Zmierzchało. Nieco odetchnąwszy wyszedł nauczyciel z chłopcami na przechadzkę; gdy w ulicy topolowej, która wiodła do dworu, spotkali wczoraj w Denderowie widzianego starca. Przyjście jego tutaj do najwyższego stopnia podbudziło ciekawość Wacława, ale przy dzieciach rozmówić się z nim było niepodobna; odprowadziwszy więc wychowańców po przechadzce do domu,

sam się uwolnił, oznajmiając, że ma pilną potrzebę odejść na godzinę, i nie czekając pozwolenia pani, która z tego powodu zabierała się do wymówek, uszedł szybko, bo wieśniak czekał na niego w ulicy.

Starzec to był z długą, siwą brodą, którego twarz okazywała, że przeżył na świecie lat około ośmdziesięciu; miała ona tę barwę mszystą, cechującą zżółkły pargamin, i lice tych, co ukończywszy rzec można życie, dogorywają już tylko. Długi włos biały spadał mu na tył głowy, zostawując odkrytą, połyskującą czaszkę i obnażone czoło; oczy były wpadłe i brwią siwą nawisłe, nos suchy, usta bezzębne i zaklęsłe; broda puszysta dopełniała obrazu tej zastanawiającej smutną powagą głowy. Przygarbiony, jakby go ciężar lat przełamał, szedł spierając się na kiju. Ubior miał prosty, wieśniaczy ale czysty, i coś mówiło w odzieży tej, że nie zawsze ją nosił: krój siermięgi, chusta na szyi, czapka, do odprawionego dworaka podobniejszym go czyniły.

I w mowie, acz prostej, odbijały sie wyrazy niezwykłe ludowi, rzadsze i nie z wieśniaczego wzięte żywota.

— Mój paneczku, rzekł siadając pod drzewem a ciągle się przypatrując pilnie w twarz Wacławowi, powiedzcie mi naprzód, jakżeście wy od hrabiego odeszli?

— Wiecie, odpowiedział Wacław, że hrabia mnie wychował, wyuczył, i niech mu Bóg płaci! teraz o własnych siłach w świat puścił.

— I wy to, wy — ten Wacławek, co to się wychował u mnie na pasiece?

— Tak! tak, — rzekł smutnie młody człowiek — sierota nieznanej, ubogiej matki.

— A macież na piersiach jaki znaczek? jaki krzyżyk? medalik? — zapytał stary.

Wacław ze wzruszeniem dobył krzyżyka i pokazał go staremu.

— Tak! to on! to on! — zamruczał pasiecznik trzęsąc się z radości i pośpiechu, chcąc mówić i myśli nie mogąc połapać... — Czekajcież, czekajcie, mam wam dużo powiedzieć!... lecz naprzód o sobie, potem przyjdzie kolej i na was. Niedawnom przyszedł z daleka, z Podola; prosiłem się, prosiłem długo, lat kilka hrabiego, żeby mi pozwolił swoich pożegnać przed śmiercią, dopiero teraz dał się uprosić.

— Kiedy? — spytał Wacław.

— Trzy miesiące temu, alem przyszedłszy do Denderowa, już was nie zastał, tylko co was wyprawili w świat. Posłuchajcież, posłuchajcie, bo staremu droga godzina. — Naprzód moje życie.

— Mów, mów, mój kochany, a potem może powiesz mi co o matce mojej, o dzieciństwie mojem.

— Słuchajcie, słuchajcie! aby tylko kto nas nie podpatrzył i nie podsłuchał, wszystko wiedzieć będziecie.

— Nie bój sie, jesteśmy sami.

— Ja we dworze powiedziałem, że pójdę do miasteczka... nie powinniby się domyślać, żem tutaj z wami. Za młodu byłem ja kozaczkiem u ojca jeszcze hrabiego, pamiętam czasy nie dzisiejsze; potem służyłem dworsko, fornalem i furmanem, i znowu lokajsko przy pokoju, gdy nieboszczyk Filip *uciekł od kredensu;* a było to jeszcze za starego pana, kiedy oba panicze byli w domu.

— Było więc ich dwóch? — spytał Wacław.

— A tak! było ich dwóch, starszy poszedł na wo-

jenkę i gdzieś zaginął bez wieści, a młodszy po śmierci hrabiego objął włości i majątki. Lokajskom się naówczas wysługiwał jak mógł, wiernie, trzeźwo i poczciwie; ale jak młody hrabia dzisiejszy nastał, już tam dogodzić było trudno; człek się poddreptał, nie był zręczny, ani ruchawy; odprawiono mnie do kredensu, potem do pasieki. Gdyby żył nieboszczyk panicz starszy, taki był dobry dla wszystkich, nie byłby pozwolił starego sługi poniewierać; ale nasz... nie bardzo uważał, jak się z kim obejść, aby jemu lepiej. Siadłem ja tedy na pasiece z moją babą, bom się czasu tego i ożenił; gdy raz, jak dziś pamiętam, pod wieczór przyprowadzili do nas ze dworu jakąś kobietę ubogą, licho ubraną, z malutkiem dziecięciem na rękach, a mówiła jakimś cudzym językiem, że jej ani rozumieć; mnie i mojej babie kazano ją hodować.

Na pasiece była chatka próżna porządna, bo tam bywało za starego pana jeździli na podwieczorki, to ją dla mnie oczyścili po jednej stronie, a po drugiej posadzili to biedactwo i kazali nam jej służyć.

Bylibyśmy i bez tego rozkazu z żoną jej posługiwali, choć się z nią rozmówić nie by ło można, bo litość brala patrząc na to nieszczęście. Widać to było dawniej i piękne, i młode, i do wygody przywykłe; ale nędza zjadła i strawiła piękność, młodość i nałóg dostatku. Z początku jak ją tu przyprowadzili ze dworu (mówiąc że to żebraczka, którą hrabia przytulić kazał), — ona okropnie krzyczała, rzucała się, coś mówila jakby się odgrażała, przytulała dziecię do siebie, chciala uciekać, i słowem rzec, miała postać szalonej; ale po niejakim czasie gdy się spostrzegła, że krzyk i gniew nic nie dokaże, że jej nikt nie rozumie, a każdy przez to bierze

a obłąkaną, uspokoiła się biedaczka trochę i zrobiła się łagodna gdyby baranek, tylko dnie i nocy płakała a płakała; czasem wyrywała się iść, aleśmy już pilnowali i wstrzymywali.

Prawie codzień dowiadowano się z pałacu co się z nią dzieje, przysyłano trochę jedzenia, suknie; ale odtrącała wszystko i zdawało się, jakby każdy ten dowód starania i pamięci jeszcze ją gorzej niecierpliwił. Wreszcie w ciągłych tak desperacjach i płaczu zaczęla chorować, a dziecko, — toście to wy byli paniczu, — tak tuliła do siebie, tak ściskała, jakby się lękała żeby jej kto nie odebrał.

Miała jeszcze na palcu jakiś pierścioneczek gładki, złoty, i prosiła mnie żebym go sprzedał żydom a kupił jej czem pisać, co ja zrobiłem, bo wielka mnie litość brała nad nią. A niemałom się nabiedził nimem zrozumiał czego odemnie chciała; ale jak zaczęła mi pokazywać to papier jakiś, który przy sobie nosiła, to pierścionek, to udawać że liczy pieniądze, a potem że pisze, doszedłem jakoś czego jej było potrzeba.

Gorąco się chciała nauczyć naszego języka, ale mnie i żonie mojej ciężko przychodziło pokazywać jej, jak na co powiedzieć, a ona prawie ciągle tak była slaba, że leżeć musiała dnie całe. Widać było ze wszystkiego, że odbyła bardzo długą i straszną drogę, bo i nogi jej pokaleczone i obcy język dowodziły, że nie była z naszego kraju. Wreszcie nieustannie pokazywala na zachód, składala ręce, modliła się i płakała, a was przyciskała do piersi, odkazując pałacowi i zdając mu się grozić zemstą Bożą. Co to wszystko miało znaczyć, ja do końca nie zrozumialem. Z tej rozpaczy i z choroby poczęło jej być wreszcie tak coraz gorzej a gorzej, że

już z łóżka nie wstawała; pisała tylko coś na papierze, którym jej kupił, chowała po kątach, a nauczywszy się kilka słów naszych, ciągle mi powtarzała: „Ja umrę, ja umrę, nie oddawaj nikomu, tylko małemu!“ I pokazywala na was, a całowała w ręce, w nogi i mnie i babę, padała na ziemię, prosiła, aż jej musiałem na krzyżyku przysiądz, że woli jej dopełnię.

— Jakże wyglądała? — spytał wzruszony Wacław.

— Ciemne miała włosy, oczy czarne, płeć białą, twarz bladą i pociągłą, a tak była wychudla, tak strasznie mizerna, usta miała tak spałone i pokrajane, ręce pokaleczone od powietrza, do którego widać nie przywykła, powieki ciągle nabrzmiałe od płaczu, pierś nieustannem jęczeniem zmęczoną, że jeszcze w życiu tak biednej nie widziałem kobiety.

Gdy coraz słabszą się czuła, a śmierć już widocznie zbliżać się poczęła, a tu ani księdza, ani doktora nie przysyłano, poszedłem sam do dworu o nich prosić, ale mnie hrabia odepchnął z tem, żebym sam pilnował, dodając tylko:

— Jeśli umrze, dawać znać natychmiast.

Nie śmiałem ja księdzu oznajmić sam, choć biedna kobieta, gdy śmierć się już zbliżała, poczęła aż szaleć z rozpaczy, dziecko tuląc, to znów mi je oddając, to się zrywając z posłania, to zachodząc od płaczu, to śpiewając jak do snu synkowi, to jakieś szybkie, głośne, straszne niby przekleństwa rzucając w swoim języku.

Myśmy już z żoną jak mogli pilnowali, doglądali w ostatniej słabości i płakali nad nią oboje, moja stara nawet powiedziala:

— Co będzie to będzie, a dziecka jej nie oddamy nikomu.

Wacław słuchając starca powieści, łzy ciągle miał w oczach i piersi mu się poruszały łkaniem, ale nie przerywał mowy, by słowa z niej nie stracić.

— Ostatniego dnia zebrała nieszczęśliwa papiery jakieś, związała je w chusteczkę, oplątała sznurkami, czem tylko miała owinęła, i wstawszy z łóżka klękła przedemną, znowu całując mnie w nogi a prosząc, bym tego nikomu nie oddawał tylko jej dziecku.

Gdyśmy jej oboje z żoną przyrzekli, usiłowala jeszcze pokazać nam, że się nas pytać będą, szukać, żebyśmy dobrze schowali, a my uspokoili biedaczkę jak mogli.

Naówczas powróciła do łóżka, na które padła osłabiona, i płacząc łzami gorzkiemi, położyła przed sobą dziecię, złożyła ręce, poczęła się modlić, całować i łzy błogosławieństwa popłynęły z jej oczu strumieniem na czoło twoje.

Strach było chwilami patrzeć, gdy przychodziła na nią rozpacz; włosy nam na głowie powstawały gdy się rozśmiała nagle, gdy zawołała kogoś w nieznanym swoim języku, bo jedno imię powtarzała nieustannie.

Mnie to imię nie było trudno spamiętać, bo często u starych panów podobnie wołano starszego naszego panicza.

— A jakie on miał imię? — spytał Wacław.

— Jemu było Henryk — odpowiedział stary — świeć Panie nad duszą jego, dobry, przedobry był człowiek.

— Tak przemęczywszy się kilka godzin nieszczęśliwa, — mówił dalej pasiecznik — nareszcie Bogu ducha oddała jakoś uspokojona, a z rąk jej zaskrzepłych dziecinę płaczącą gwałtem odjąć musieliśmy. Moja stara wzięła ją i przeniosła do naszej chaty, a papiery schowaliśmy w ul pusty i zarzuciliśmy liściem suchym.

Zaraz pobiegłem do dworu dać znać o śmierci biednej kobiety, a gdym hrabiemu powiedział, zbladł tylko, wydał dyspozycje do pogrzebu, i rzuciwszy mi parę rubli, dodał:

— Dziecko odnieść do dworu.

— Jasny panie — rzekłem — ja nie mam dzieci; gdybyś JW. pan pozwolił nam tę sierotkę wychować sobie? — Pomyślał i rzekł:

— Do czasu, dobrze, potem może być inna dyzpozycja; niech tymczasem będzie u was. A zostało się tam co rzeczy po tej żebraczce? zapytał.

— Nie wiem, rzekłem, oprócz podartego trochę odzienia.

Jakby mu coś nagle na myśl przyszło, wziął nagle kij do ręki, kapelusz, i milcząc poszedł ze mną do pasieki. Tu przybywszy nie chciał wejść do izby, w której leżała nieboszka, ale kazał tylko poznosić jej rzeczy, odzienie, przejrzał sam, popytał czyśmy jakich papierów nie widzieli, i nic nie znalazłszy, bom mu skłamać musiał, że w chorobie wszystko popaliła, odszedł do pałacu, mówiąc jakby do siebie, com ja dobrze słyszał: Szalbierstwo było! I ani okiem nie rzucił na dziecko.

Ty kochany paneczku zostałeś się przy nas, ale nie na długo; w szóstym roku już cię do dworu zabrali, i to jakoś nagle, bo hrabia w wilią mi przyrzekł że cię zostawi u mnie, a potem gdy jacyś sądowi zjechali i czegoś pytali o waszę matkę, kazał cię oddać do dworu.

— Gdzież są te papiery? gdzie są te papiery? — niespokojnie spytał Wacław — czy masz je? czy nie zginęły?

— Mam, mam — rzekł stary, oglądając się bacznie

i wyjmując z zanadrza sporą paczkę zasmoloną i widocznie w ciemności i wilgoci nadwerężoną. — Otóż ci je oddaję. I Bogu dziękując, że mi dał dożyć tej chwili. Teraz już umrę spokojnie.

Wacław porwał z rąk starca paczkę, ucałował ją, przycisnął do piersi, chciał rozerwać, ale ciemność wieczora wstrzymała popęd i ciekawość niespokojną. Pasiecznik mówił dalej:

— Jak tylko odebrali cię do dworu, zaraz rychło i mnie wyprawili ne Podole. Prosiłem się bardzo, aby mnie tu przy swoich u rodziny zostawili; ale hrabia jak co raz powie, to się nie wymodlisz. I tak lat kilkanaście na czużynie przyszło harować, biedować, i co rokum się do swoich prosił, i co roku mnie zbywali: „Nie można, ta i nie można.“ Wreszcie teraz jakoś przed kilku miesiącami pozwolili tu przyjść. A mnie już i sił brakło czekać, żeby jak wam oddać te papiery; powierzyć ich nie było komu, a strasznie się bałem, nuż mnie tak śmierć zaskoczy, choć upiorem powracaj. Bywało co pomyślę aż drżę. No, dzięki Bogu! teraz mi już lekko będzie, kiedy przyjdzie ostatnia godzina, a dobry czas!

To mówiąc podniósł się i błogosławiąc Wacława, który przed nim z uszanowaniem pokląkł, rzekł:

— Daj ci Boże wszystko dobre paneczku! Byłeś choć kilka lat mojem dzieckiem i mojej starej; myśleliśmy że cię dla siebie piastujemy, ale i jej przyszło skończyć i mnie samiuteńkiemu dziadem się włóczyć.

Łzy potoczyły mu się po zmarszczonej twarzy. — Tak, tak, rzekł, ale już mnie niedługo włóczyć się i stękać, czas do swoich na mogiłki. Ja tu już na świecie nie mam nikogo, nawet od siostry wnuki pomarły;

żywej duszyczki, i pasiekę moję przenieśli na Gawryłowe uroczysko, i chata stara gdzie my żyli, zawaliła się w kupę gnoju... Ja tam taki wyproszę sobie i sklecę szałas na starem gruzowisku, i z wężami pobieduję, aż głowę przyjdzie położyć. Będzie mi się czasem zdawało, że ja tam z moją staruchą.

Wacław chciał oddać staremu co tylko miał, a miał niewiele, ale stary wziąć się wzbraniał.

— A mnie na co? — rzekł — chleba nigdzie nie odmówią, siermięg mam aż dwie, bo jednę od trumny chowam, kilka rubli jest w węzełku... nie potrzebuję ja tego, tobie się zda, moje dziecko.

Jakkolwiek niecierpliwy był Wacław chcąc co najrychlej rozwiązać oddane mu papiery, nie miał jednak serca porzucić starca, który powoli gawędził, rad będąc że go słuchają. Był to ostatni świadek zgonu jego matki, jej powiernik, człowiek co się nad nią ulitował, jego przybrany ojciec; jakże dla niego nie miał poskromić swej ciekawości, pragnienia, i nie dać mu się wymówić do syta?

Późno już rozstali się, a Wacław przyrzec musiał jeszcze, że do niego przyjdzie do pasieki drogą, którą mu starzec dokładnie opisał.

Wróciwszy do dworu, zastał wszystkich długą swą niebytnością niezmiernie rozjątrzonych. Dębicki chodził po pokoju głośno wyrzekając, żona jego zbierała się na ostre wyrzuty, a chłopcy radzi z tego, gotowali się złośliwie słuchać z kąta bury, którą ich nauczyciel dostanie. Ale wielkie te przygotowania wojenne spełzły na niczem, bo Wacław zamiast przepraszać i uniewinniać się, jak spodziewano, poszedł wprost do swego pokoiku, zapalił świecę i na zamek się w nim zamknął.

Sama pani, której zaraz o tem słudzy donieśli, niezmiernie się tem uczuła obrażoną i zagniewaną, a nie mogąc wytrwać, porwała świecę i cała rozogniona pobiegła szybko, i impetycznie zastukała do drzwi zapartych.

— Cóżto jest znowu? — woła pod drzwiami — co to za konduita pańska? Całe dnie i wieczory na jakichś nieprzyzwoitych przechadzkach, a potem zamykasz się pan w swoim pokoju. My za to płacim, żebyś pan był przy dzieciach, musimy wiedzieć co robisz.

— Pani — odezwał się Wacław przywiedziony do niecierpliwości, otwierając drzwi — obowiązany jestem synom jej dawać lekcje muzyki i nic więcej; bawić państwa w salonie i służyć im w inny sposób nie mogę i nie będę. Jeśliście państwo nie radzi ze mnie, w każdej chwili dom ich opuścić jestem gotów...

To powiedziawszy, oburzony, widząc, że pani oczyma tylko przewracała i oddalała się milcząca, zamknął drzwi, i siadł drogie rozpatrywać papiery.

W salonie niewysłowione poruszenie; gdy jejmość przyszłą z odpowiedzią nauczyciela, po długich rozprawach, w których się Dębicka odgrażała, Dębicki ją hamował, a dzieci podsłuchiwały; po trzy razy ponowionej kłótni stanęło na tem, żeby wszystko darować, zapomnieć, i nazajutrz nic już nie wspominać o wczorajszym wypadku.

Na ulotnych kartkach brudnego papieru, pismem niewyraźnem, spiesznem ale pięknem, nakreślone było jakieś opowiadanie; nie policzbowane kartki, rozrzucone, pogniecione, bez porządku, ciąg przecież jakiś widocznie

stanowiły. Oprócz tych papierów, dość gruby zwitek tworzących, ostatniej po matce spuścizny, znalazł Wacław metryki, świadectwa, paszporta i różne dowody pochodzenia swego, w urzędowych wyciągach.

Jak piorunem raziły go te wyraźne skazówki, przekonywające że był synem Henryka Dendery, a synowcem hrabiego Zygmunta.

Historji całej biednego wygnańca, żony jego i sieroty dowiemy się z następujących notat, które częstemi łzami obmyte, w srogiej boleści pisane, z bijącem sercem, z rozpaloną głową czytał Wacław, wzdrygając się nad zbrodnią tego, którego wczoraj jeszcze swoim dobroczyńcą nazywał i płacząc nad rodziców losem.

Oto słowa nieszczęśliwej matki, na łożu boleści, w przedśmiertnej chwili dla syna spisane:

* * *

Co się z tobą stanie, dziecko moje, dziecko moje! A! potrzebuję w tej chwili ostatniej, gdy mnie rozpacz porywa, powtórzyć sobie to, o czem długo zapomniałam, rachując tylko na ludzi: Jest Bóg! jest Bóg. O! jest Bóg i weźmie w opiekę swoję sierotę.

Nie żal mi świata, życia, niczego, niczego; ale ciebie dziecię moje, tak rzucić całkiem sierotą, opuszczoną, kto wie może prześladowaną! — o! chciałabym żyć jeszcze! żyć! Panie! Panie daj mi życie, lub jeśli za karę odmówisz prośbie, weźmijże ty w opiekę niewinne dziecię moje. Chciałabym mu zostawić pamięć jego rodziców, ale czy te słowa dojdą kiedy do nieszczęśliwego, którego czeka poniewierka, ciemnota, służebnictwo! Za coś mnie tak ukarał Boże, tak ciężko, tak srogo, tak okropnie!

Trzeba się zebrać na siły, trzeba łzy otrzeć kobiece, trzeba odwagi.

Któż wie, może te słowa, które kreślę ręką od gorączki drżącą, nie widząc ich za łzami; może też te słowa dojdą do dziecka mojego, wskażą mu kim jest, gdzie ma szukać swej ojcowizny, na kim się pomścić opuszczenia, u kogo dopomnieć losu.

Urodziłam się i wychowałam w Paryżu; ojciec mój był za cesarstwa jednym z najbogatszych spekulantów i bankierów stolicy; ja i brat mój całą jego stanowiliśmy rodzinę. Matki nie znałam nigdy, bo nas odumarła w dzieciństwie, oddana na mamki na wieś, potem na pensję w Paryżu, ledwie czasami widywałam ojca i dom rodzinny. Brat mój podobne także za domem odbierał wychowanie. Ojciec żył w wielkim świecie swoich współbraci kupców pieniędzy, wśród zbytków, wśród wrzawy, wśród codziennych obaw i nadziei bursowej. Fortuna jego cała była oparta na szczęśliwych obrotach: to się chwiała, to się podnosiła, w różnych kolejach przedsięwzięć wielkich i gry papierowej. Dom jego utrzymywany był na wielką stopę; mieliśmy hotel własny ogromny, karety, konie i dwór liczny. Ile pamiętam naówczas ojca, byłto człowiek tak zajęty, tak zawsze sprawami swemi opanowany, że ledwie gdyśmy do domu przyjeżdżali, miał czas nas uściskać; obdarzał wytwornemi podarkami, przemówił słów kilka, ale rzadko dzień jeden cały z nami przepędził. W siedmnastym roku wróciłam z pensji, gdy brat mój młodszy odemnie kończył jeszcze nauki w kollegium Charlemagne; dodano mi do towarzystwa podżyłą niewiastę, wdowę po jakimś wojskowym, i wyszłam na panią domu. Ojciec dogadzał wszystkim moim zachceniom, stroił

mnie, woził, pokazywał i na piękności mojej budował nadzieje połączenia się ze szlachtą starą, do której zbliżyć się pragnął. Była to chwila, w której właśnie Napoleon sprzyjał zlewaniu się różnych klass społeczeństwa, chcąc właściwą swej dynastji utworzyć szlachtę; wszyscy do myśli się jego zastosowywali mniej więcej chętnie, łącząc się rozmaicie: ludzie pieniężni chwytali na korzyść swoję objawioną wolę wielkiego człowieka, i usiłowali wcisnąć w grono dawnej lub nowszej arystokracji rodu i szabli. Na mnie spoczywały nadzieje uszlachcenia związkiem ze starą zubożałą rodziną przedmieścia Saint-Germain, lub w braku jej przybliżenia do dworu, wydając za którego z tych szczęśliwych wojaków, co z wioski i z pod słomianej strzechy wynosili w tornistrach laski marszałków Francji.

Dom mojego ojca stał otworem dla wielkiego świata; poczęły się bale, odwiedziny, zabawy, i tłum gości płynął dziwując się zbytkowi, przepychowi, uprzejmości bankiera. Liczni starający się otoczyli mnie. W początkach bawiła mnie sprzeczność tego szumnego świata z cichą pensją, z której niedawno wyszłam; ale w tłumie nie wyróżniałam nikogo, wszyscy byli mi zarówno obojętni, wszyscy tak doskonale do siebie podobni. Z ubogiej szlachty starej, którą ojciec mój najwięcej u siebie widzieć pragnął, nikogośmy mieć nie mogli; za to wojskowych i młodych urzędników zjawiło się mnóstwo. Napróżno starał się ojciec o herbowych gości: żaden z nich progu naszego nie przestąpił; bywali w kantorze, nigdy w salonach.

Bawiłam się wesoło, bawiłam nie wiedząc, że tylko na progu życia miałam doznać trochę słodkiego szału, by go opłacić później cierpieniem nad ludzkie siły.

Wśród tłumu gości, zjawił się w domu naszym młody człowiek, twój ojciec, biedne dziecię, Henryk mój drogi, i wkrótce, choć stopniem w wojsku, ani postawą świetną, ani dostatkiem nie uderzał wśród towarzyszów, zwrócił ku sobie oczy moje i serce. Litość mnie naprzód dotknęła nad smutnym wygnańcem; na jego poczciwej twarzy przy męztwie żołnierza, malowała się boleść niestarta niczem, dziecka, co macierzystej pozbawione było piersi. Oko jego we łzie wiecznej pływało, i uśmiech nawet miał łzawy; a wyrazy wychodzące z ust jego wielce się różniły od trzpiotowatej mowy towarzyszów, bo były poważne, głęboko uczute i powleczone jakąś żałobą. Ale pocóż te wspomnienia, na cóż serce rozdzierać na nowo. — Henryk mnie pokochał, ja wprzódy może jeszcze, niżeli się tego domyślał, jużem go kochała, jużem sobie przyrzekła być jego lub niczyją. Wiedziałam odrazu, że ojciec z trudnością pozwoli na połączenie nasze, choć Henryk miał za sobą odwagę, zasługi, rany w obronie Francji odebrane; ale obcy, wśród protegowanych, wśród zazdrosnych, niewielkie świetnego losu mógł roić nadzieje. Oczy ojca padły już były na generała Le..., który z prostego wieśniaczego syna wzniósłszy się na ten stopień, ślepo Napoleonowi posłuszny, dziko odważny, obiecywał wkrótce prześcignąć innych wzniesieniem się wysoko, któż wie? może aż do jakiego tronu? Henryk był kapitanem tylko, a dla córki bankiera, której obiecywano miliony, partja to była za skromna. Ojciec ledwie imię jego wiedział, i nie wiem czy go mógł w tłumie rozróżnić. Pułk, do którego Henryk należał, ciągle stał w Paryżu; stosunki nasze co dzień były ściślejsze; i widywaliśmy się w kościele, w domu ojca, w domach, w których bywa-

łam na zabawach, i wkrótce zbliżeni coraz bardziej, powiedzieliśmy sobie, że nic nas nie rozdzieli. Przyrzekłam być jego żoną; on mówił mi, że może pozyskać przebaczenie, pozwolenie powrotu do kraju i odebrać należny mu majątek. Rozpieszczone dziecię, widząc dotąd we wszystkiem ulegającego mi ojca, nie pojmowałam, by się mógł w czem woli mojej sprzeciwić, i jednego ranka poszłam mu wyznać wszystko. Słuchał mnie blady, przerażony, gniewny, zdziwiony; i ledwiem skończyła, zadzwonił na sługi, zawołał moję towarzyszkę, głosem, jakiego dotąd nie słyszałam, zapowiadając mi, że więcej go widzieć nie będę. Bóg mnie zapewne ukarał za nieposłuszeństwo ojcu — choć widział, jak posłuchać było ciężko! Nieprzywykła do rozkazów, oburzyłam się, oparłam i wręcz odpowiedziałam, że słuchać nie bedę. Nie znałam go jeszcze.

Rozżarty na mnie, porwał się z wściekłością prawie, i zawołał wielkim głosem, rozbijając kosztowne naczynie, które przy nim stało:

— Wiesz ty, co mówisz! Ja cię tak zgniotę i rozbiję, jak ten zlepek... ja nie rozumiem nieposłuszeństwa i sporu — jak chcę i tak być musi; jestem ojcem dla dzieci, dla samowolnych i upartych potrafię być tyranem!

Więcej rozdrażniona niż przestraszona tym wybuchem, wyszłam z pokoju oświadczając, że mnie zlęknąć nie potrafi.

Tegoż dnia pomimo czujności otaczających, dałam znać Henrykowi o wszystkiem, zakazałam mu, żeby się nie pokazywał już u nas; prosiłam, by wszystko przygotował do ślubu, i przyrzekłam uciec dla niego z domu ojca. Nie wątpiłam, że on się później da przebłagać, a opiekun Henryka, cesarz, skłoni go do uznania tego związku.

Stało się, jakem pragnęła i zamierzyła; uszłam nocą z pod tego dachu, do którego więcej nie miałam już powrócić; ksiądz ujęty, ślub nasz pobłogosławił, towarzysze broni dopomogli Henrykowi do usunienia wszystkich przeszkód, i zdumiona ale szczęśliwa, znalazłam się z pałacu w ubogiej, choć przystrojonej kwaterze wojskowego, wyświeżonej na przyjęcie moje. Co się działo w domu naszym, nie wiem, lecz burza musiała być okropna: wszyscy słudzy zostali odprawieni, wdowa odesłana na prowincją, i nazajutrz odebrałam list od ojca z przekleństwem i wyrzeczeniem się dziecka... Przywieziono mi trochę moich rzeczy, a oddający je oznajmił, żebym się więcej w hotelu pokazywać nie śmiała. Napróżno przez osoby wyżej położone i wielkie wpływy mające, staraliśmy się ojca przebłagać; nic nie pomogło. Henryk udał się do samego cesarza, a Napoleon kazał do siebie przywołać bankiera, który na zapytanie odpowiedział mu pokornie ale stanowczo:

— Najjaśniejszy panie, społeczność stoi na posłuszeństwie, rodzina jest zasadą państwa; N. Pan wymagasz, by go słuchali żołnierze, ja chcę posłuszeństwa od dzieci moich. Nie znam za dziecko zuchwałej córki, która się sama mnie wyrzekła.

Przyjaciele ułatwili mi potem zbliżenie się do ojca, ale mnie odepchnął nielitościwie i zapowiedział, że oprócz szczupłej części, jaka na mnie z majątku matki przypadała, którą zaraz wypłacił, nic więcej po nim mieć nie będę.

Henryk robił mi jeszcze nadzieję, alem postrzegła wreszcie, że łudzić się dłużej byłoby napróżno. Nastąpiły wojny, a ja w moim lichym domku w Paryżu, porzucona, sama jedna, drżałam, żeby mi wojna ostat-

niego skarbu, opiekuna i męża nie wydarła.

W czasie gdy Henryk był w Hiszpanii, ojciec nie chcąc nawet w godzinie zgonu przypuścić mnie do siebie, umarł wydziedziczając zupełnie, brat pozostał małoletni i opiekunowie obojętni, pełniący ściśle wolą ojca. Większą część czasu spędziłam w Paryżu sama jedna, z memi łzami. Nieszczęścia, których pojęcia nie miałam, dopiero się poczynały.

Na pociechę i strapienie, Bóg mi cię dał dziecię moje; ale gdyś ty na świat przychodził, ojciec twój do nowego powołany boju z Hiszpanii, leciał z pułkami Napoleona w przeciwną stronę na północ.

Spadek po matce mojej, znacznie już uszczuplony, ledwie mnie jeszcze utrzymywał; tymczasem Henryk zawsze był tylko kapitanem. Gdy drudzy szybko postępowali na wyższe stopnie, on leciał za nich w ogień zabójczy, zyskiwał rany, leżał i jęczał po lazaretach Europy, wracał ledwie uleczony do walki, obietnicami łudzony, dręczony myślą, że los swój ciężki z moim związał; — a nie mógł się podnieść, nie mógł mi niczem strat wynagrodzić... Ja nic nie chciałam tylko być z nim razem, los jego dzielić, pocieszać go, zapewniać, że ubóstwo mnie nie przeraża; nieustanna wojna rozdzielała nas.

U twojej kolebki nauczyłam się modlić — dzięki tobie, dziecię moje! sama jedna, opuszczona, wyglądałam tylko listów, wieści, powrotu zwycięzców. Henryk był tam w swojej stronie, miał mi dać wiedzieć jak go przyjmie rodzina; ale od przejścia Niemna, nie miałam już od niego listu, i jakkolwiek przerabiane biuletyny wielkiej armii, przerażały mnie straszliwie. Spisek Mallet'a, potem powrót cesarza bez wojsk, bez tych

krociów, które tam śniegi pochłonęły, odjął mi wszelką nadzieję, i biedną głowę moję zawrócił; od Henryka słowa nie było, mówili że zginął pod Moskwą, drudzy, że w przeprawie pod Berezyną.

Nie wierzyłam jeszcze temu ogromowi nieszczęścia; biegłam do cesarza, do generałów, wszyscy już strachem panicznym jakimś przed upadkiem cesarstwa przejęci, odpychali mnie, zbywali. Nareszcie dowiedziałam się z pewnością o jego zgonie, nierychło list krwią zbroczony oddał mi towarzysz broni, przyjaciel jego... W tym liście, który ci zostawiam, znajdziesz powód podróży do waszego niegościnnego, zimnego kraju! Henryk polecał mnie bratu, oddawał rodzinie dziecię i żonę, zaklinając ich na wszystko, co najświętsze, by się opiekowali sierotami.

Trzeba więc było, gdy wszystkie środki do życia w Paryżu wyczerpałam, gdy ostatek zapasu się rozszedł, gdy mi już i pensji jako wdowie odmawiano w tym zamęcie; — iść obcej na drugi koniec świata szukać nowych krewnych i opieki

O! nigdy, nigdy! nie zapomnę tej chwili, gdym w żałobie z tobą, dziecię moje, opuściła obojętne miasto moje rodzinne, z jednym tylko starym żołnierzem waszych legii, co o kuli wracając do kraju, ofiarował mi się za obrońcę i przewodnika. Złożyliśmy razem dwa ubóstwa nasze, i powoli rozpoczęli długą wędrówkę żebraczą, która była wszystkich rozkoszy młodości mojej pokutą. Prędko wyczerpał się ostatek zasiłków uzbieranych na drogę, potrzeba było o proszonym chlebie, o litości ludzkiej, iść od drzwi do drzwi mijając miasta, wzdłuż tylu różnych krain, na daleką, daleką uciekającą nam północ! W pół drogi mój towarzysz podróży,

zachorzał; dziesięć dni pielęgnowałam go, ale Bóg chciał mi odjąć i tę ostatnią podporę: biedny żołnierzysko umarł na lichym barłogu, w wiejskiej szopie, na najniegościnniejszej, na ziemi niemieckiej.

Nadzieja dobicia się do kresu podróży, złożenia ciebie w ręce stryja, zapewnienia ci losu, wiodła mnie dalej samą jedną, a Bóg tylko wie jeden, ile upokorzeń, obelg, oszukaństw i strasznego sponiewierania wycierpiałam w tej drodze, która zdawała się trwać wieki.

Nieraz porywała mnie rozpacz wśród niedostatku, wśród burzy i słoty, wśród ludzkiej nielitości; padałam chcąc umrzeć i podnosiłam się dla ciebie dziecko moje, i szłam znowu dalej, a dalej. Im bliżej byłam twoich stron, tem większa otucha wstępowała w serce; a choć o suchym kawałku chleba, szłam nowemi siłami do świtającego już celu. Znalazły się nieraz, znalazły dusze poczciwe, co mnie wspomagały, skierowały, pocieszyły.

Lecz jakże ci opiszę ostatek, o dziecię moje! Nie chciałabym w tej chwili przedśmiertnej przeklinać, bo sama wiem jak cięży przekleństwo, ale serce się pęka, mnie rozpacz porywa znowu... Ze łzami, z radością, z bijącem sercem, padłam u progu domu, który widział młodość mojego Henryka, do nóg jego bratu; szybko, jak w gorączce, opowiedziałam mu dzieje nasze, oddałam mu krzyż oblany poczciwą krwią jego na ostatniem polu bitwy, ostatni list... i położyłam ciebie małego, schorzałego, drżącego od chłodu, uwinionego w łachmany, u stóp nieludzkiego człowieka!

A! zwierz-by się ulitował łez moich, nędzy naszej! Spojrzał, pomyślał, nie chciał mnie zrozumieć —

odepchnął! odepchnął!... Zamiast przytulić wdowę, jak żebraczkę odsunął żonę brata, ledwie chleba kawałek, jak z łaski jej rzuciwszy. Na moje łzy gorące, rozpaczne, odpowiedział szyderstwem, zowiąc mnie awanturnicą.

— Brat mój nie był nigdy żonaty — rzekł zimno — to są rzeczy podrobione, to są fałsze...

Przecież miał w ręku dowody, przecież znał pismo jego! Nie wiem, jak potrafiłam mu wyrwać te ostatnie skarby twoje, te papiery łzami i krwią uświęcone, by je dla twej przyszłości ocalić. Chciałam iść dalej, sił brakło; musiałam, posłuszna jego woli, zwlec się na ten barłóg, który żonie brata na łoże boleści, a! i śmierci, przeznaczył!

Ale nie! nie przeklinajmy, dziecię moje! przebaczmy!... Bógto przez niego jego ręką mnie karał... a! sroga kara! ale wola Jego święta!

Gdybyż, gdyby wszystko się to skończyło na mnie, gdybym mogła za ciebie przecierpieć, zostawić ci lepsze nadzieje! ale to próżno!! Ten człowiek nieulituje się nad sierotą... Widziałam go, widziałam bladą chciwość jego, obawę, pomieszanie... to zbrodzień! Co się z tobą stanie? co ci zgotował? Boże! Boże! ja myśleć nie chcę! Wszak jest Bóg! wszak jest!

* * *

Dalszy rękopism wdowy tak był niewyraźnie, tak widocznie w gorączce pisany, tyle go razy łzy zmyły a drżąca ręka zatarła, że Wacław tylko mógł go przeczytać sercem spragnionem macierzyństwa, odgadując więcej niż rozumiejąc wyrazy dziwnie poplątane, świad-

czące w jakich mękach, w jakiej rozpaczy umierała biedna kobieta.

Przejrzawszy, pożarłszy te papiery, czas jakiś pozostał pod wrażeniem okropnej powieści; plątało mu się w głowie, biło serce oburzone, myśl gorąca biegała od zamiarów zemsty do łez przebaczenia. Nie wiedział co począć z sobą, gdzie i jak się obrócić, musiał szukać rady u obcych. Ale jakże ich uczynić powiernikami tej zbrodni? jak ojca Cecylji, stryja, wystawić au wstyd i hańbiącą karę, któreby ścigały występnego?

Cała noc przeszła mu we łzach, na modlitwie, w namyslach; a nazajutrz potrzeba było iść do nieubłaganych obowiązków.

Zrana, po chwilce spoczynku, przerywanego jakimś przestrachem, chłodniej zebrawszy myśli, poszedł naprzód uwolnić się u Dębickich od dalszego u nich pobytu. Napróżno chcieli go utrzymać wszelkiemi sposoby, wczorajsze z nim obejście biorąc za powód niespodzianego postanowienia: Wacław oświadczył im, że inne zupełnie przyczyny zmuszają go dom ich opuścić, i w inny sposób pokierować swem życiem.

Z trochą pieniędzy, smutny ruszył w świat ubogim wozem chłopka, niespełna wiedząc dokąd i po co; lecz pragnąc wzgardę i sponiewieranie matki nielitościwemu zapłacić stryjowi, surowo zapytując go o rachunek czynności.

W okolicy Denderowa, przy małym parafialnym kościołku w Smolewie, na samej granicy Polesia, mieszkał sławny z surowej cnoty, pobożności i chrześcjańskiego poświęcenia się, pleban, ksiądz Warel. Niemłody to już był człowiek, zestarzał w boju że światem, w praktyce cnót religijnych i społecznych, doradzca nieszczęśliwych, lekarz ubogich, opiekun sierot, słowem, kapłan w całem znaczeniu tego wyrazu. Cnotę zasadniczą, na której spoczywają wszystkie inne, poświęcenie się, podniósł do najwyższego stopnia; dla Boga i ludzi zapomniał zupełnie o sobie. Poważny i smutny, jeśliby go co wewnątrz dręczyło; nielitościwy dla siebie, niezmordowany w pracy i jej wyszukiwaniu, ksiądz Warel żył tylko ofiarą. Dziś, gdy duchowni często więcej są dla świata niż dla Boga i bliźnich; gdy stara pierwszych chrześcjan wiara a cnota stała się niepoścignionym ideałem; gdy zepsucie kazi czasem tych nawet, co na świeczniku stojąc, przykładem drugim przyświecać powinni, ksiądz Warel był zjawiskiem niepospolitem.

Rzadcy są zawsze ludzie, co jak on, w sprawie z sobą samymi, w niczem nie pobłażają, nic przez pół

nie robią, rzucając się przeciw ofiarom, cierpieniu, boleściom, z gorącą żądzą, z zapałem, który niewielu pojmuje i ocenia. Wśród naszego zimnego, obojętnego społeczeństwa, jakże zdumiewać musiał?!

Pochodził on ze szlacheckiej rodziny oddalonego kątka dawnej Polski, i nikt nie wiedział powodów, dla których oblókł suknię duchowną; żywot jego tylko wnosić kazał, że prawdziwe wiodło go ku niej powołanie. Od dwudziestu już lat spełniał on obowiązki naprzód wikarego, potem plebana w Smolewie, a nikt powiedzieć nań nie mógł, żeby w czemkolwiek uchybił, nawet największym wymaganiom swoich parafian. Probostwo to było jednem z najuboższych, a razem najludniejszych: lasy bowiem otaczające Smolew, kryły w sobie chaty tysiąca przeszło głów szlachty i budników katolików, należących do księdza Warela; z bogatszych dworów ledwie kilka przypisanych tu było.

Drewniany, pochyły, stary ten domek Boży, podpierany i przystrajany wedle możności czarniawą wieżyczką swoją z maleńkim dzwonkiem, wznosił się nad stare lipy, ocieniające cmentarz i plebanją. Dom proboszcza równie był pochylony, równie stary, wypaczony, wklęsły w ziemię, i raczej miał pozór ubogiej chaty, niż księżego mieszkania. Ksiądz Warel mieścił się w dwóch izdebkach mizernych, z których jedna, pokaźniejsza, przeznaczona była na przyjmowanie przybywających parafian, druga wyłącznie służyła jemu. Tu łóżeczko zakonne, prosty tapczan pokryty cienkim siennikiem; sosnowa półka z kilką książkami; krucyfiks; flaszeczki i sloiki z pijawkami i różnem lekarstwem, stojące na starem biurku bez zamknięcia, na skrzynce i stoliku, całe stanowiły bogactwo i przybór. Pierwsza

izba czysta, ale wcale niestrojna, miała kilka starych krzeseł, kanapkę pokrytą drelichem, stół tylko i zegar w szafce dębowej.

W tem więcej niż skromnem mieszkaniu, rzadkim był gościem gospodarz; cały oddany swym dziatkom, jak ich nazywał, dni a często i noce spędzał na posłudze około duszy i ciała. Gdy nie było koni, szedł pieszo w lasy pocieszać, leczyć, spowiadać, katechizować wyrostków, przygotowywać umierających. Rzadko zastać go było można w domu, chyba gdy nabożeństwo tego wymagało, bo ksiądz Warel z równą gorliwością, niezmordowany, spełniał obowiązki kapłana u ołtarza i po za kościołem. Nigdzie z większem poświęceniem, wiarą, zapałem, nie obchodzono wielkich uroczystości i pamiątek kościelnych; nigdzie lud nie śpiewał goręcej starych naszych pieśni pobożnych; nigdzie się nie modlił tak żywo a serdecznie przy strasznej ofierze. Jaśniało oblicze księdza, gdy spełniał tajemnice święte, zdawał się szczęśliwy, uniesiony, promienisty zapałem; lecz odstąpiwszy od ołtarza, często wpadał w zwykły sobie smutek i zamyślenie, które zdawały się być właściwym stanem jego duszy. Twarz księdza Warela malowała to dziwne usposobienie: wyschła, zżółkła, wyniszczona, przypominała dawnych ascetów; a płomień oczu, łagodny razem i posępny, okazywał wewnątrz głębokie cierpienie i walkę, których wiara i modlitwa uspokoić nie mogła. Rysy jego twarzy były piękne, postawa poważna, włos siwiejący już skroń okrywał; czynne życie wyrobiło w nim mimo chudości niezmiernej siłę potężną. Nic go zdaje się nie kosztowało znosić głód słotę, zimno, pragnienie, bezsenność; jak gdyby duchem pobożności i ofiary podnosił się nad zwykłe warunki

życia ludzkiego, nigdy się niczem pożyć nie dawał, zawsze był gotów do pracy nie potrzebując spoczynku. Chwile wytchnienia spędzał na gorącej modlitwie: długie godziny widywano go leżącego krzyżem u ołtarza; późno w noc zastawali go ludzie modlącego się ze łzami w swojej izdebce; a gdy ubogi zapukał nad ranem wzywając go o mil kilka do łoża chorego, na pogrzeb, zrywał się rzeźwy, zawsze gotowy na posługi, a nie słyszał nikt by się na znużenie poskarżył. Prawdziwy sługa Chrystusów, dla braci wszystko co miał oddawał; miał niewiele, ale w ręku dobroczynnego drobny pieniążek, chleb suchy, wielu nakarmić mogą. Więcej też on czynił mając mało, niż wielu bogatych, bo oddawał wszystko i świadczył sercem razem i dłonią.

Z dziwną nieopatrznością a spuszczaniem się na wolę Boga, nie zasposabiał nigdy swej spiżarni ani domu, często nie było prawie co jeść; naówczas z radością szedł do drzwi sąsiedniego wieśniaka i prosił go w imię Boże o chleba kawałek, a każdy mu dawał ochotnie, z rozczuleniem, wiedząc, że jutro we dwójnasób u niego odbierze, chlebem i słowem.

Pomimo płochości naszego wieku i społeczeństwa, które rade śmieje się z tego, czego pojąć nie może; nikt nie ośmielił się jednak szydzić z tego człowieka, panującego wszystkim swoją prostotą ewangeliczną. Dla niego możny i ubogi, znaczący i nikczemny człowieczek, ostatni żebrak, zupełnie byli równi; szanował ich jako ludzi, obrazy Boże, i bez ogródki mówił każdemu prawdę ojcowską, życzliwą, ale całą, a często przykrą. Słodziły ją tylko poczciwe usta, podając łagodnie jak lekarstwo na chorobę. Znając wysokość swego powołania, nie uniżał się przed nikim pomazaniec Boży; ale

nikogo też nie obraził dumą, bo był nadewszystko pokorny. Godziła się w nim doskonale powaga kapłana z uniżeniem grzesznika chrześcjanina. Obelgi znosił bez gniewu, z uśmiechem, z jakąś radością niemal; nieprzyjaciół nie miał, a chwilowo na siebie zawziętych upamiętywał i rozbrajał często jednem słowem. Wielki to był i święty człowiek...

Czemuż na tem czole opromienionem wiarą, tak często zjawiał się smutek? czemu w tych oczach płonących miłością Bożą i ludzi, tak często wytryskała łza i płomień boleści? czemu płakał samotny i szedł na modlitwę chmurny, posępny jak winowajca, jak żołnierz do boju, na który nie czuje się dość zbrojnym?

Któż zna głębię duszy ludzkiej? kto zajrzał na dno tajemnicze serca i rozplątał myśli człowiecze? Bóg jeden widzi jasno ten dziwny kłębek nici, w których złoto i zgrzebno się miesza.

Do księdza Warela postanowił się udać Wacław z tajemnicą swoją, o radę i kierunek go prosząc; znał go oddawna i szanował, wiedział, że nikt szlachetniej, nikt rozważniej naprowadzić go nie potrafi na drogę prawą. Czuł on, że i poczciwego serca i wyższego umysłu potrzeba było, coby mu wskazał ścieżkę, jaką należało iść dalej; dopominając się imienia, przyszłości, majątku i upokarzając dumnego człowieka.

Przybywszy do plebanii nie zastał Wacław księdza Warela, który swoim zwyczajem na budkach spowiadał i katechizmował dzieci; stara gospodyni uprzejmie go prosiła, żeby na proboszcza zaczekał.

Usiadł więc na ławce od ogrodu na wpół zgniłej i poprzedników jeszcze proboszcza pamiętającej: tu w zadumaniu i bolesnych myślach zatapiając się do

wieczora; tyle zamiarów, tyle chęci walczyło w sercu jego! Już słońce zniżało się ku zachodowi i za czarną kryło się chmurę, gdy w ganku dał się słyszeć znany głos gospodyni staruszki i proboszcza:

— A co moja Doroto, jest tam co zjeść — mówił ksiądz Warel — dobrym kawałek zrobił piechotą; należy mi się strawa.

— Jest trochę barszczu i kasza — odpowiedziała starucha.

— Specjały — odparł ksiądz — a dziś sobota, dzień Najświętszej Panny; dosyć mi będzie jednego: daj wasani trochę barszczu.

— Ale tu ktoś czeka na jegomości.

— O! dawno! a któż to taki?

— Od południa, jakiś młody człowiek, ubrany porządnie, ale przyjechał prostym wozem.

— A dałażeś mu jeść?

— Nie chciał nic, siadł sobie w ogródku; czegoś smutny, widzi mi się, jakby zapłakany.

— No to schowajże sobie barszcz jejmościuniu — rzekł ksiądz Warel — bo tu pilniejszy interes.

— Ależ jegomość pewnie dziś nic nie jadł?

— Owszem, owszem, chleba kawał i ogórka całego; będzie czas na wszystko; pilniejszy interes bliźniego, niż brzucha.

To mówiąc pospieszył proboszcz do izby, złożył brewiarz co go nigdy nie odstępował na stoliku i spotkał z roztwartemi rękoma Wacława, którego kochał.

— A! to ty moje dziecko — rzekł — jakże mi się masz? No! zdrów widzę, dzięki Bogu, i myślę, pobożny jakeś był. Oj! wiara, to wielki skarb, nie traćcie jej nie traćcie; ciężko ją potem odzyskać, a bez niej

żyć ciężej jeszcze. I cóż mi powiesz kochanku? siadaj.

— Mój ojcze — rzekł z kolei Wacław — to z czem do was przybyłem, rzecz jest bardzo wielkiej wagi dla mnie; przyszedłem po radę i w niemałej sprawie.

— Dobrze! dobrze! zawsze to ślicznie, gdy młody starego i slugi Bożego się radzi, a nie spuszcza całkiem na siebie. Bóg ci zapłać, siadaj serce i mów.

— Możemy mówić niepodsłuchiwani?

— Śmiało, sami jesteśmy; słucham cię moje dziecko.

To mówiąc ksiądz Warel, jakby do rady wzywał Boga także, począł po cichu odmawiać modlitewkę, wzniósł oczy w niebo i usiadł biorąc rękę Waclawa, który rozpoczął opowiadanie od historji biednej swej matki.

Proboszcz słuchał jej poważny, niekiedy łza zakręciła mu się w oku, czasem spojrzał na Wacława, jakby uczucia jego badał; w końcu gdy i papiery przejrzał, i ukończyły się te smutne dzieje, zamilkł i głęboko się zadumał.

— Radź mi ojcze, radź proszę, co mam począć? — spytał niespokojny Wacław.

— Czekaj-no serce, tu się trzeba wprzód pomodlić do Ducha Świętego — odparł ksiądz — do ducha dobrej rady. Rzecz straszna, smutna, trudna; jutro rano odprawię na tę intencję mszę do Ducha Świętego, pomodlim się oba, a potem pomówimy; zostań u mnie, przenocuj, wszak ci i tak nie pilno, boś podobno jak widzę Dębickich opuścił.

— Wytrwać mi u nich było trudno.

— Szkoda, bo uczciwego człowieka jak ty, przewodnictwo i dzieciom i starymby się przydało. Jedna

pobożna dusza w domu wiele czyni dobrego. Dziś ci nic radzić nie chcę, jutro co mi Bóg natchnie, to ci powiem. A teraz możebyś co i zjadł — dodał uśmiechając się — tylko cię uprzedzam, że słudzy Chrystusowi więcej żyją słowem Jego świętem, niżeli inną karmią; u mnie ubogo, do czarnego chleba może nie jesteś przywykły. Ha! cóż robić, gdybyś i przepościł trochę ze mną, nic to nie szkodzi ani ciału, ani duszy. Dziś się z postu śmieją, a wielka to prawda przecie, że: ujmij ciału obroku, a dusza będzie syta. Wielcy święci nasi na pustyni podsycali się wstrzemięźliwością i umartwieniem.

— Doroto, dawaj już barszcz i kaszę z grzybami, podzielim się z gościem co Bóg dał.

To mówiąc zasiadł ksiądz Warel przed ubogim stołem, a Wacław przy nim, ale ledwie łyżek kilka wziął do ust, gdy wszedł budnik zapłakany, na miłość Boga prosząc o pomoc dla ojca, który z barci spadłszy, połamał ręce i nogi, i konał w boleściach. Nie myśląc już o jadle, chwycił proboszcz swoje flaszki i narzędzia lekarskie, zakasał poły starej sutanny i pożegnawszy do jutra Wacława, ruszył z kawałkiem chleba w ręku.

Nierychło w nocy powrócił, a gość widział go jeszcze długo leżącego na modlitwie.

Nazajutrz rano odprawiła się msza o Duchu Świętym; nikogo nie było w wiejskim kościołku prócz kilku żebraków. Ksiądz Warel odszedł od ołtarza rozjaśniony, przejęty, i ucałowawszy Wacława, rzekł do niego wróciwszy na probostwo:

— Jedź serce moje do hrabiego, powiedz mu o odkryciu otwarcie, bez srogich wymówek, z gotowością przebaczenia, z braterską litością względem występnego;

Bóg może zamknięte serce jego dotknąć, nie będziemy potrzebowali zapewne sprawiedliwości ludzkiej, o którą ze zgorszeniem dobijaćby się musiało. Zresztą, czyliż ci tak bardzo trzeba grosza i mienia pilno a koniecznie, żebyś obłąkanego chciał dla niej gubić, żebyś brata ojca twojego, krew własną, dał na wstyd , pohańbienie u ludzi? Czyż nie lepiej mu przebaczyć, a jeśli cię odepchnie, zostawić go sumieniu i Bogu. Od pięknego uczynku rozpocząłbyś życie i Bóg teżby ci błogosławił. Przy mszy świętej słyszeć musiałeś za każdem niemal słowem przykazanie miłości i przebaczenia.

— Lecz pamięć ojca, cierpienie matki, maż to wszystko pozostać niepomszczone?

— Nie mów serce moje o zemście, bo jej chrześcjanin znać nie powinien, i bez grzechu wyrazu tego wymówić nie może. Bóg jedynym mścicielem, my nie powinniśmy się uzuchwalać aż do zastępowania Go. Zemsta zawsze jest zła i występna. Matce twej Bóg już nagrodzić musiał w przyszłem życiu co tu ucierpiała; dla niej modlitwa twoja jest najpiękniejszą ofiarą. Zresztą, takżeto długie życie nasze, byśmy je na zemstę i krzywdę braci obracali, kiedy nam dano tę chwilę na udoskonalenie nasze i zbliżenie się do nieba.

Mówił tak długo i Wacław uczuł się do żywego dotknięty, poruszony, podniesiony; widział się wyższym od swego ciemiężcy, spokojniejszym, szczęśliwszym. Pełen tych pięknych uczuć chrześcjańskich, wyjechał z probostwa tym samym wozem wieśniaka, z myślą, iż ubóstwo jego piękniejsze jest niż dostatki stryja, kosztem czoła, spokoju i kłamstwa zdobywane tak mozolnie. Podsycając w sobie to uczucie całą drogę, pełen jednak wzruszenia i smutku, przybył nareszcie do Denderowa.

Z jak nową myślą spojrzał teraz na to miejsce uświęcone matki łzami, ojca wspomnieniem! Gdyby nie nauka księdza Warela, z jakąż żądzą chciwą zemsty byłby się dopomniał o krzywdy swoje; ale wyrazy kapłana były hamulcem wybuchu jego, podnieciły pragnienie wspaniałomyślnego przebaczenia.

Jak zawsze zastał hrabiego w wytwornym stroju rannym, z twarzą wypogodzoną, dumną, pańską, wśród stosu papierów, marzącego o swem państwie, o obrotach, o nowych scenach dramatu, którem było czynne jego życie.

Wchodzącego Wacława powitał uśmiechem, wcale się nie domyślając, jak innym dziś przychodził dawny wychowaniec, sierota, ażeby go słuchać liczby z przeszłości; jak strasznym głosem miał się odezwać do niego: „Kaimie! gdzie jest Abel, brat twój?“

Pozorny spokój wyryty na bladem czole hrabiego, wyższość z jaką dumny postąpił czynić wymówki Wacławowi, smutnie przejęły sierotę.

— A waćpan tu znowu? czy już od Dębickich? — spytał Dendera.

— Tak jest, od Dębickich.

— Tylkoż nie myśl mi wacpan wisieć na karku — rzekł z nieukontentowaniem hrabia — dość już tego, dość, czas pracować i myśleć o sobie; młodość droga...

Zbity tą śmiałą mową stryja, który się wcale jeszcze nie domyślał odkrycia strasznych tajemnic, Wacław nie wiedział od czego począć, westchnął, wspomniał na matkę i obracając się dokoła zapytał:

— Jesteśmy sami?

Zaledwie to wyrzekł, hrabia pobladł, zmieszał się i jakby już przeczuwał, że musi zmienić rolę, że

nadeszła jak piorun niespodziana godzina kary i upokorzenia, wybełkotał z niezręcznie udaną przytomnością:

— Cóżto jest?

— Mamy pomówić o rzeczy ważnej — rzekł zimno Wacław — rzeczy, której sądzę, nie powinni słuchać tylko my i Bóg.

Dendera jeszcze bardziej słowy i tonem przerażony, zagryzł usta, obejrzał się, postąpił do drugiego pokoju, i w milczeniu chmurnem czekał zapytania, widocznie opanowany strachem. Wacławowi usta drżały, w głowie się zawracało; położenie jego dziwnie się zmieniało: pokorny dotąd sierota, stawał jako sędzia; uszanowanie do którego przywykł i nowe wymaganie stanowiska, do jakiego miał prawo, bój w nim staczały tajemny.

— Panie — rzekł po chwili łagodnie — pozwól się spytać: nie miałeś brata?

Hrabia, który jeszcze łudził się, że strach paniczny przejdzie niczem, usłyszawszy to, zadrżał, cofnął się, obłąkanym wzrokiem potoczył i upadł na kanapę milczący, oczy wlepione trzymając w Wacława.

Twarz jego wyrażała takie przerażenie, pomieszanie i przestrach, jak gdyby istotnie głos Boży z góry go zapytał: Kaimie, coś uczynił z Ablem, bratem twoim? Ale po chwili nawykłość długa do udawania, pewność, jaką czas go obdarzył, że tajemnica wydać się nie może, dodały mu sił nieco: podniósł się i mierząc od stóp do głowy stojącego przed sobą Wacława, spytał zbójeckie prawie rzucając nań wejrzenie:

— Dla czego ty mnie o to pytasz?

— Wiesz pan o tem — odpowiedział Wacław — bo ja jestem synem brata twego! brata, któregoś zagarnąłeś majątek, któregoś wdowę odepchnął, nie dając jej ani

tego do czego miała prawo za życia, ani mogiły po śmierci, ani pociechy przy skonaniu, ani dziecku jej imienia, które mu należy...

Hrabia blady jak ściana, porwał się znowu z konwulsyjnem drżeniem.

— Szalbierzu! — krzyknął — kto ci te myśli podrzucił?... To oszukaństwo, to spisek na mnie haniebny! Sierota, dziecię jakiejś włóczęgi, podnosisz się na swego dobroczyńcę, kąsasz rękę, która ci chleb dała!

— Nie jestem szalbierzem — rzekł Wacław usiłując utrzymać się chłodnym i rozważnym — ani ty panie dobroczyńcą moim; kim i czem jestem, mam na to niezbite dowody i świadków; jeśli z dobrej woli zaprzeczysz mi pan mojego stanowiska na świecie, imienia rodziców, dojdę go w inny sposób.

— Dowody! A jakież możesz mieć dowody? — spytał z iskrzącemi oczyma Dendera.

— Twoje własne przekonanie, twoje pomieszanie, twój przestrach jest najpierwszym — odparł Wacław śmielej — widziałeś inne, czytałeś list ojca mego krwią jego zbryzgany; miałeś w ręku papiery, aleś je nieopatrzny rzucił, odepchnął, żeby przywłaszczony majątek brata zatrzymać. Trzymajże go — dodał Wacław — bom nie o niego przyszedł się upomnieć, ale o imię, o cześć matki, o spokój ojca w grobie... To wydarłeś i powrócić musisz!

— Jakto? ty mi śmiesz prawa dyktować! — wrzasnął hrabia w gniewie.

— Nie ja: twe własne powinno to uczynić sumienie.

— To są bajki, fałsze, niegodziwe i podłe szalbierstwa! — zawołał Dendera — a ty...

— Ja zapewne — przerwał Wacław — jestem w oczach

twych, jak matka moja nieszczęśliwa, niepotrzebnym tylko natrętem, ale nie umrę jak ona, na pasiece bez księdza i lekarza w ostatniej nędzy; Bóg na to nie pozwoli!

To mówiąc odwrócił się i chciał już odejść, gdy hrabia schwycił go za rękę; usta mu się trzęsły, oczy latały obłąkane, pierś buchała niepokojem występku.

— Co poczniesz niewdzięczniku? — spytał.

— Niewdzięcznym nie jestem, bom tu wpierw przyszedł, gdy mogłem gdzieindziej pójść pierwej: pocznę co Bóg mi wskaże.

— Czego chcesz odemnie, prześladowco mój i dzieci moich?

— Chcę sprawiedliwości, imienia mego, własności mojej.

Hrabia stanął, utopił oczy w podłogę, zamyślił się.

— Nie! nie! to być nie może! — zawołał — to hańba; lepiej śmierć!

I rozśmiał się szydersko. — Idź precz!

Lecz nim Wacław do drzwi doszedł, odwołał go znowu.

— Czego chcesz — spytał — chcesz majątku?

— Chcę imienia.

— Imienia! — rozśmiał się znowu Dendera z boleścią. — Chcesz imienia splamionego zbrodnią, którą mi dowodzisz, choć nie dowiedziesz.

— Chcę imienia, które mi się należy.

— Chcesz majątku?

— Części mojego ojca.

— Wyrzeczesz się imienia, zapomnisz wszystkiego?

— Więc nie jestem przecie szalbierzem, — zawołał podchwytując Wacław — ani matka moja włóczęgą!

Hrabia uczuł się zmieszanym, zamilkł mierząc go okiem nieufnem.

— Godzę się jak z napastnikiem — rzekł wykrętnie — prawda czy fałsz, znajdzie złośliwych co ją głosić będą; odbierzesz mi dobre imię, mnie i dzieciom potrzebne: wolę się okupić.

— Ja nie chcę jałmużny — odparł Wacław podnosząc głowę — ja chcę mojej własności.

— I będziesz jej dochodził, sromocąc ten dom, który cię od dziecka wychował?

— Wychował! — roześmiał się z kolei Wacław — syna brata, jak sierotę! z litości, w upokorzeniu, w służebnictwie, ogołoconego z imienia, ze związków krwi drogich, podwójną zbrodnią uczynionego podrzutkiem...

Wzrokiem wzgardy i litości razem zmierzył Wacław hrabiego; wspomnienie matki nieszczęśliwej wzburzało go, potrzebował całej mocy duszy, by powstrzymać w sobie wybuchy gniewu, zemsty, ale słowa księdza Warela przychodziły mu na pamięć i tamowały go.

Wybiegł z pokoju hrabiego, zostawując go ciężkim myślom niepewności, postrachom, a sam wpół nieprzytomny popędził do ogrodu. Tu kilka ledwie zrobił kroków, spotkał Cesię, która zdumiona widokiem jego, krzyknęła, cofnęła się i śmiejąc zaraz zawołała:

— A! to pan Wacław!

Ale podnosząc oczy, gdy się ich wejrzenia spotkały, gdy cały niepokój duszy Wacława, jego krwawy smutek i wzruszenie głębokie dotknęły Cesię, śmiech zamarł na jej ustach, z litością kobiecą postąpiła żywo zapytując:

— Co ci to jest? co to się stało panie Wacławie?

— Nic pani — odparł biedny muzyk, dłonią

odgarniając z czoła włosy potem boleści oblane — nic, nic.

— Paneś mnie przeraził, jego twarz tak strasznie zmieniona!

— Jestem trochę chory...

— Powróciłeś więc do nas?

— Nie pani, tylko na chwilę — i westchnął.

— Wszak na wesele jeszcze nie czas! — uśmiechnął się boleśnie.

— Wesele! a prawda! zapraszałam pana; ale z tą twarzą upiora, z tem wejrzeniem zbójcy, dziękuję! Przestraszyłbyś mi pan gości i dzień mój jasny zasmucił.

— Byłżeby to dzień tak jasny? — zapytał smutnie Wacław.

— Dlaczegoż nie? — odparła żywo Cesia — dzień, który mojego ulubionego do nóg mych na wieki przywiąże. Pan nie wiesz jak on mnie kocha! Nie ma jak ludzie tego, co on wieku: umieją się przywiązać bałwochwalczo, służyć jak niewolnicy, słuchać jak dzieci...

— Panibyś chciała tylko niewolników, chwalców i posłusznych?

— Tak, bo lubię rozkazywać i królować — zawołała dumnie. — Ale pan idziesz ze swą tajemnicą jak chmura z burzą: smutny, dziki; powiedzże mi co to jest? Straciłeś miejsce? wszak ojciec pewnie ci nie odmówi ani dachu, ani stołu, ani pobytu u nas...

— O! ja o nie nie proszę!

— Już tak dumny! — rozśmiała się Cesia ruszając ramionami — zkądże ta pycha?

Wacław zamilkł. Dziwaczna myśl przeszła mu przez głowę w tej chwili; kochał, lub zdawało mu się, że

kochał Cesię, mógł położyć hrabiemu za warunek pozwolenie połączenia się z nią; dyspensę z Rzymu łatwo było wyrobić: cóż, kiedy coraz wyraźniej malowała mu się chłodną i płochą. Postanowił zajrzeć śmielej w głąb nieodgadnionego jej serca i po chwili się odezwał:

— Dlaczegożbym nie mógł być dumnym? Każdy ma swoję dumę: wy panowie dumę panów, żebrak dumę ubóstwa, sierota dumę opieki Bożej nad sobą. Tak — rzekł — jestem dumny, przyznaję się.

— Cóżto za zmiana w panu Wacławie — ofuknęła Cesia prawie obrażona tonem odpowiedzi — nigdym go jeszcze tak mówiącego nie słyszała.

— Nigdym też silniej nie był wzruszony!—odpowiedział.

— Cóż pana tak porusza? odprawa od Dębickich — rzekła szydersko.

— Nie — odparł Wacław — porusza mnie widok młodej, pięknej istoty, która dla oklasków i trochy świecideł sprzedaje się starcowi...

— Cha! cha! a to wybuch osobliwszy! Boże! co się to panu stało, panie Wacławie! może wody?

Wacław spojrzał zimno i usuwając się dodał:

— Pani nigdy wody nie zażądasz, bo nigdy się nie poruszysz, zawsześ jednostajnie zimna i obojętna jak kamień.

— Dziwna-to rzecz, że sobie pan pozwalasz czynić podobne postrzeżenia.

— Dlaczegożbym nie miał powiedzieć co myślę?

— Dlatego, że zbyt daleko stoim jedno od drugiego — zawołała obrażona Cesia. — Nie spodziewałam się od pana podobnej niewczesnej szczerości.

Wacławowi dziki uśmiech przebiegł po ustach, zdjął kapelusz, ukłonił się.

— Żegnam — rzekł — panią marszałkową Farurej.

— Żegnam wacpana, mości muzyku!

W oczach Cesi jaśniał gniew i obrażona duma, w jego błyskała litość; nie uszło jednak hrabiance, że coś dziwnego zmienić musiało ich położenie wzajemne, i jakiś niepokój nią owładnął. Miała w sercu trochę uczucia dla niego, ono było najpierwsze i przebijało się przez późniejsze wrażenia. Zmieszana spojrzała za nim, chcąc go odwołać, ale Wacław już był daleko; rozżarzony wchodził do pokoju, w którym hrabia sparty na ręku dumał, chwytając się jak tonący najdzikszych pomysłów i najniepodobniejszych obrony środków.

— Czekam jeszcze na odpowiedź stryja! — rzekł młody człowiek.

Hrabia powstał.

— Nie chcę wstydu, obmowy, zgorszenia, procesów, wolę nad to ofiary największe — odezwał się ze stłumionym gniewem — przystaję na wszystko: powinieneś mnie oszczędzić, i dzieci, i ich... Powiem przed ludźmi, że dziś dopiero dowiedziałem się, przekonałem kim jesteś, przyznam cię synem brata... Cesia może być żoną twoją, jej posag twoim działem...

— Panna Cecylia nie może być żoną moją — odparł Wacław — zbyt jesteśmy blizko pokrewieństwem, a zbyt daleko obojętnością: wróć mi pan imię, o resztę się ułożym...

— Dajesz mi więc słowo, że we mnie nie będziesz widział nieprzyjaciela, ale stryja, że przeszłość przebaczysz, że ludziom nie dasz powodu obwiniać mnie za ciebie?

— Niech Bóg sądzi przewinienia — rzekł Wacław uradowany, że się wszystko kończy — i przebaczy jak ja

ci przebaczam... Matka moja w niebie za uznanie dziecka wymodli cię od kary.

Hrabia jakby mu ciężar potężny spadł z serca, porwał, chwycił go za rękę i wiodąc go za sobą, rzekł szybko:

— Chodź więc ze mną, chodź ze mną.

W milczeniu dziwnem przeszli ten dziedziniec, na który właśnie wygnanką, żebraczką, przychodziła matka Wacława, prosić napróżno litości u brata; wstąpili na wschody, otworzyły się drzwi salonu.

Tu już zgromadzeni byli: hrabina, Cesia, Sylwan i nieodstępny codziennie marszałek Farurej; kilka osób obcych ściągnionych interesami, powiększały towarzystwo, jakby naumyślnie los ich na świadków przywołał.

Z nieudanem wzruszeniem hrabia do środka przeprowadził Wacława, którego twarz posępny smutek i niejaka okrywała duma.

— Miałem brata — odezwał się pompatycznie Dendera — sądziłem będąc w błędzie, że zginął bezpotomnie; dziś odbieram dowody, że pozostawił syna po sobie, oto jest syn jego a wasz brat — obrócił się do Cesi i Sylwana — mój synowiec Wacław Dendera. Dziwny zbieg okoliczności, ani mi o egzystencji jego wprzód wiedzieć, ani uznać nie dozwolił. Wychowałem sierotę, pan Bóg mi dał w nim krewnego.

To mówiąc z doskonale faryzeuszowskiem przejęciem ucałował młodzieńca, którego pierś na ten uścisk judaszowski się wzdrygnęła.

Przytomni zdumieni, osłupieli... obcy tylko pospieszyli powinszować i unosić się nad wysoką wspaniałomyślnością hrabiego, który ze wzruszeniem przechodzącem już jego siły, upadł raczej niż usiadł na blizkie krzesło.

Cesia blada jak cień, pierwsza przyszła do Wacława, i nie wiedząc jak go powitać, co mu powiedzieć, tylko rękę podała.

Sylwan niespokojny, bo zaraz porachował, ile go ten brat kosztować będzie, przybliżył się i uścisnął dość niechętnie; hrabina pobiegla męża rozpytać co się stało, ale mina jego posępna, wzrok szklanny, usta drżące i niemota, odepchnęły ją od niego.

Całe towarzystwo, jakby sparaliżowane tem osobliwszem zdarzeniem, rozpękło się na kilka części; obcym pilno już było odjechać, żeby roznieść nowinę po sąsiedztwie, a domowi czekali na to równie niecierpliwie, żeby się od hrabiego dowiedzieć czegoś więcej. Zadumana Cesia obojętnie i zimno przyjmowała nadskakujące grzeczności Farureja, który ujrzawszy się zbytecznym, wkrótce pod jakimś pozorem umknął z Denderowa. Waclaw po cichu także wysunął się z salonu, siadl na biedny wóz swój, i wrócił do księdza Warela oznajmić mu skutek swego kroku i prosić o radę co do dalszego postępowania.

Gdy się to dzieje, hrabia, którego siły wyczerpały się kilką blizkiemi sobie uderzeniami niespodzianemi (bo kilka dni temu odebrał był też wiadomość, że matka żony wyszła za mąż), milczący zwlókł się z kanapy i w łóżko położył.

Całe jego postępowanie z Wacławem nacechowane było piętnem słabości charakteru, szczęściem zasłaniającej go teraz od większych występków i wstydu. Zaparłszy się bratowej i jej dziecka, obawiał się powiększać zbrodni tej zabójstwem: ograniczył się tylko wywłaszczeniem i nieumiejętnem zakryciem pochodzenia dziecięcia. Dziś do walki, procesu, boju, zabrakło mu

także siły; ugięty przestrachem, wolał na wszystko pozwolić, niż wieść z nim upokarzającą sprawę. Duma i dbałość o opinją uratowały go na ten raz od ostatecznego upadku, ale myśl oddania połowy nadwerężonego majątku, co przy spłaceniu długów byłoby go zubożyło do reszty, doznane w tych czasach straty i przeciwności, tak silnie go dotknęły, że gorączką miotany, o mało nie postradał życia.

Straszliwych symptomatów choroba rozwijała się z szybkością niesłychaną. Rozesłano po lekarzy; a hrabina u łoża chorego przyszła z francuzkim romansem w ręku grać rolę rozpaczającej małżonki.

Cesia po odjeździe Farureja i Wacława, zatopiona w czarnych myślach, siedziała w krześle nieruchoma, jakby w nią piorun uderzył: najdziwaczniejsze obrazy, domysły, zamiary snuły się po młodej głowie. W pierwszej chwili nic nie powiedziała Wacławowi, szukała tylko jego wejrzenia, ale go spotkać nie mogła; później usiłowała się zbliżyć, widocznie od niej unikał. Teraz łza spłynęła z jej oczu, łza gorzka upokorzenia, przez którą już patrzała nadzieja świetniejszych losów. Tak rozpieszczone dziecię, gdy je lekka spotka przykrość, myśli o zabawkach, by się co najprędzej rozerwać, znieść jej nie umiejąc. Wypadek niespodziany dnia tego, najżywiej obszedł Cesię; widziała dziś podobnem, co wczoraj wydawało jej się poczwarną śmiesznością: serce jej biło, odradzała się miłość; z drugiej strony uśmiechało się bogactwo, znaczenie, uśmiechał się los królowej wszechwładnej. Stała między dwojgiem szczęścia, nie umiejąc wybrać jeszcze, pochylając się sercem na stronę Wacława, głową ku bogatemu starcowi. A że żyła raczej głową niżeli sercem, bo uczucia jej brakło,

lub nierozwinione spało jeszcze w głębi piersi, łatwo wyrachować kogo czekało zwycięztwo.

Hrabina po mężu cierpiała podobno najwięcej; jej wstręt do Wacława pomnożył się jeszcze i wzmógł, ale go ukryła starannie, jak wszystko, co czuła, taić była zwykła. Uśmiechem powitała krewnego, nie dała po sobie poznać boleści, i otuliła się powagą i smutkiem.

Sylwan widocznie był tem mnóstwem po sobie następujących wypadków niepomyślnych przejęty głęboko, i chmura smutku nad czołem jego zawisła; a zwykła mu samowolność i lekceważenie wszystkich, które każde rozdrażnienie powiększało, nieźmiernie się w nim wzmogły. Szedł zamyślony, gniewny, dumny, z brwią namarszczoną do swoich pokojów, nie racząc nawet spojrzeć na matkę i ojca, ani się do siostry odezwać, ani swych myśli z kimkolwiek podzielić. Dumał tylko o upadku majątku, znaczenia, nadziei swoich, z rozpaczą, na którą nie widział ratunku. Przywykły uważać los za sługę słuchającego skinienia, gniewał się, że mu wydzierał to, co jak sądził, słusznie, koniecznie mu należało. Jedyną zbawczą deską w jego głowie było ożenienie; na niem gruntował rachuby przyszłości, zbogacenia nowego i podniesienia się: nie wątpił bowiem, że na pierwsze jego wejrzenie, na wyciągnienie ręki, rzucą się ku niemu tłumami dziedziczki miljonów.

Znalazłszy sobie tę pociechę i postanowiwszy udać się zaraz gdzie w obcą stronę (gdyż okolica nie była godną młodego hrabiego), uspokojony nieco, zapalił cygaro, i położył się na kanapie z wice-hrabią Bragellone Dumas'a.

W domu znowu zabierało się na nieporządek i rozprzężenie; popłoch poprzedzający zwykle chwilę upadku,

wszędzie czuć się dawał. Choroba hrabiego, uznanie synowca, uspokojonych czasowo, znowu poruszyły wierzycieli, sług i przyjaciół domu.

Wacław jechał do Smolewa, i ze łzami uściskawszy księdza Warela, opowiadał mu swoję przygodę.

— O! widzisz, że ci pan Bóg poszczęścił — rzekł proboszcz — patrzajże, żeby ci twoje sieroctwo, opuszczenie, stan dawny, były płodną na przyszłość nauką. Znasz cierpienie, boś cierpiał; wiesz jak boli upokorzenie, osierocenie, nędza, służebnictwo; pomagaj drugim, a uczynkiem podziękujesz Bogu za to, coś z łaski jego niespodzianie otrzymał. Zresztą, jak wielu, co się modlą w cierpieniu, a zapominają o Bogu, gdy im dobrze, nie trać wiary: skarb to wielki. Są ludzie nieopatrzni, co w szale szczęścia rzucają go na drodze, sądząc, że potrzebować nie będą; ale kiedyż się wiara nie przyda?

Na takiej treści rozmowie zszedł wieczór. Wacław dla uregulowania swojego nowego bytu, potrzebował jechać do Żytkowa; i nazajutrz otrzymawszy potrzebne papiery, których hrabia na pierwsze zażądanie nie odmówił, wybierał się już w podróż, ale uczuł się słabym. Ksiądz Warel go nie puścił; doznane wrażenia, zmiana losu, niepokój, rzuciły go także na łoże boleści, z którego młodość dźwignąć go miała.

Ksiądz Warel z troskliwością matki pozostał przy chorym, pielęgnując go najstaranniej i nie oddalając się, chyba dla spełnienia koniecznych obowiązków swego stanu. Naówczas zostawiał w swojem miejscu poczciwą Dorotę, staruszkę najlepszego serca, ale gderliwą, która

i proboszczowi nieraz dokuczyła wymówkami i przepowiedniami, i choremu też ich nie szczędziła.

Smolew był blizko Wulki, a Kurdesz wielkim przyjacielem plebana; codziennie prawie stary wojak odwiedzał księdza, którego potrzeby tajemnie opatrywał, tak, że tylko Dorota i on wiedzieli o tem; Warel byłby bowiem tej ciągłej ofiary nie przyjął, ale zbyt zajęty, nie dopatrzył się zkąd co przychodziło.

Tu stary szlachcic pierwszy raz spotkał Wacława, i widząc że mu w plebanii pomimo starań księdza nie najlepiej było, uprzejmie zaprojektował przenosiny do swego domu, zaręczając, że Brzozosia i Frania dobrze go dopilnować potrafią. Napróżno opierał się temu i ksiądz Warel i Dorota nawet; plebania była oczywiście wilgotna, doktor od Wulki mieszkał niedaleko, wszystko zdawało się przemawiać za wnioskiem rotmistrza: zaprzężono więc brykę i chorego przewieziono do znanego nam dworku.

Wiadomość o tem niesłychanie w początku zdumiała, potem rozradowała Brzozosię, która miała między innemi tę wadę, że się nudziła łatwo i potrzebowała nowości; przytem gdy się jeszcze dowiedziała, że to był hrabia i tego nazwiska co Sylwan, poczęła sobie powtarzać po cichu: — Kabała! kabała! kto wie co się to wyświęci, ona skłamać nie może!

Poczęła tedy zaraz wypytywać spiesznie jak Wacław wyglądał, ile miał lat, jakie oczy, włosy itd. Skutkiem tych badań było głębokie prorocze zamyślenie.

Oporządzono pokoik dla Wacława, a straż nad nim polecono naturalnie Brzozosi, która wzięła to na siebie z wielką radością; Frania tylko przez okno zobaczyła bladą twarz chorego, gdy wysiadał przed gankiem

i wchodził do pokoiku, przytykającego do jej mieszkania.

Nie byłato ciężka choroba; w początkach zaraz przerwała ją kuracja stosowna, pozostało osłabienie i ten stan przejścia, który dzieli zdrowie od cierpienia. Wacławowi tylko wychodzić i wyjeżdżać zakazano. —

U łoża hrabiego zbierali się także zawołani medycy, głęboko rozmyślając nad przyczyną i nazwiskiem choroby, której *causa proxima* zakrytą dla nich była. Każdy z tych panów mając jakąś słabość faworytkę, którą wszędzie i we wszystkiem widział, symptomatów jej uporczywie szukał u hrabiego, i znalezione po swojemu determinował. Każdy też stosowny sposób leczenia doradzał; lecz że pilniejsze środki zaradcze wskazywał sam rodzaj choroby, na nie się zgodzono bez wielkich sporów. Ze trzech przytomnych lekarzy, jak często bywa, ten, który mówił najgłośniej, rozprawiał najniedorzeczniej ale zuchwale, zagadywał swych współtowarzyszów i umiał swoję niewiadomość pokryć ładnie uszytą suknią szarlatanerji, — otrzymał pierwszeństwo. Zasługa cicha, nieumiejąca mówić o sobie i za sobą, zawsze przyzostaje w cieniu: zarozumiałość idzie naprzód!

Hrabia, pomimo że się dostał w ręce szarlatana, niejakiego pana Szturm, znanego w okolicy z tego, że leczył jak kto chciał: homeopatją, alleopatją, hydropatją Prisnitzowską, elektropatją, Leroy, Morisonem, i podtrzymywał ten eklektyzm zgrabnie ukleconym systemem; pomimo leczenia najdziwaczniejszego, przychodził do siebie, mając jeszcze wiele życia i siły, głównych warunków zdrowia, bez których podstawy żadna medycyna nic nie może. Pan Szturm, który wedle zwyczaju swego szeptał wszystkim, że słabość jest niezmiernie

niebezpieczna, przypisał naturalnie sobie cudowne ocalenie pacjenta, i nazywał to jedną z najszczęśliwszych swoich praktyk, co w istocie winien był tylko losowi: bo dokładne nawet poznanie słabości tak było trudnem, że go się musieli wyrzec wszyscy medycy. Jak w wielu chorobach przyplątało się to, co wprzód taiło się długo lub słabo odzywało; teraz komplikowało to słabość, zaciemniając główne symptomata mnóstwem podrzędnych. Pedogra z całym orszakiem najdziwniejszych swych cierpień opanowała hrabiego, przechodząc z nóg, w których zwykle mieszkała, w odwiedziny do góry. Sprowadzono ją jednak na pierwszą sadybę, nie dając zasiedzieć w niewygodnych dla niej organizmu zakątach. Ale w miarę jak zdrowie odzyskiwał hrabia, przypomnienie niebezpieczeństwa w jakiem zostawał, wstydu którego doznał, upadku co mu groził, miotały nim coraz silniej. Potrzeba było oddać wierzycielom, oddać Wacławowi i pozostać na bardzo małem. Przywykłemu do zbytku, przyzwyczajonemu do państwa, na to hrabia nie miał rezygnacji. Pocieszała go nieco myśl, że Farureja z córką ożeni, na którym wielkie też urojone osnuwał nadzieje; potrzeba było uspokoić wierzycieli, coby nań czyhać już mogli, a przedewszystkiem ukołysać rotmistrza Kurdesza, którego dwóchkroć nie był w stanie oddać hrabia. Po długich bezsennych nocach myślenia i kombinacji, okazała się potrzeba wezwania w pomoc Sylwana. Sylwan, który ze swej strony marzył, wybierając się na kampanją matrymonjalną, przyszedł do ojca powołany, ale obojętny, nadęty, znudzony.

Hrabia leżał na łóżku blady, oczy tylko jasne, błyszczące ogniem życia, podsyconym jeszcze chorobą, objawiały grę wewnętrzną uczucia. Dziwnie zmieniony,

wychudzony, z zapadłemi policzki, suchą i pomarszczoną ręką, czołem pofałdowanem, wpół oparty na poduszkach, zgarbiony, dumał boleśnie. Sylwan nie uczuł na widok tej postaci wrażenia, jakie na nim uczynić była powinna; zimne jego serce przykrzyło sobie w widoku cierpienia, ale go nie podzielało.

Rozparł się w krześle, ziewnął i spytał:

— Jakże się hrabia ma?

— Lepiej, lepiej, — odpowiedział żywo zapytany — ale muszę myśleć i myśl mnie trawi.... a myśleć potrzeba... Potrzeba o sobie myśleć, inaczej źle być może. Nie znasz panie Sylwanie stanu naszego majątku: upadek! ubóstwo nam zagraża!

— Owszem, domyślałem się tego, i postanowiłem też póki czas myśleć o sobie.

— Właśnie i ja pracuję nad tem, — rzekł stary hrabia.

— A! więc słucham! — skłaniając się prawie szydersko odparł Sylwan.

— Trzeba żebyś nas ratował; stoimy jeszcze wymodlonym i wypracowanym przezemnie kredytem. Przed tobą nie mogę i nie powinienem nic taić; od zabrania klucza Słomnickiego poczęły się nieszczęścia nasze... Pójście za mąż babki waszej — szaleństwo! głupstwo!... Ten synowiec... (wymówił ciszej), długi... wszystko to zabiera nam i majątek, i nadzieję podźwignienia się. Jeśli jeszcze wierzyciele razem o wypłatę się dopomną, zginęliśmy.

— Tak, to wiem, ale jak temu zapobiedz?

— Ludzie są jak owce — mówił z wejrzeniem na Sylwana przenikliwem hrabia — idą, gdzie ich poprzedzą drudzy.

— To być bardzo może, ale cóż nam z tej sentencji?

— Posłuchaj: właśnie Kurdesz jest głównym wierzycielem, jeśli jego nie uśpimy, za nim rzucą się wszyscy.

— Ale cóż z tym starym wędżygą począć?

— Hm, gdybyś się starał o jego córkę?

— Jużciż zdaje mi się, — rzekł oburzony Sylwan — że coś przecie lepszego znaleźć mogę!

— I ja tak sądzę — ale starać się, zaręczyć nawet, a ożenić się, całkiem rzecz inna. Potrzeba żebyś się starał, nawet z pozwoleniem i wiedzą moją, ale do ożenienia nie przyjdzie, a zyskamy na czasie.

— Samo staranie sie jest upakarzające, — odezwał się Sylwan, — zwłaszcza po tem co zaszło.

— Ale cóż zaszło? — podchwycił stary bledniejąc.

Sylwan poprostu, otwarcie opowiedział wszystko, aż do próby przekupienia Brzozosi, nie szczędząc szyderstw i obelg domkowi szlachcica.

— Ba! — wysłuchawszy rzekł stary, — to jeszcze nic: wszystko to w korzyść się obrócić możę; powiesz, że twoja miłość tak jest silna *et caetera*, że mi padłeś do nóg, że ja musiałem zezwolić. Stary, że to kuta sztuka, przyjedzie mnie spytać: ja potwierdzę. Przeciągnie się staranie, a gdy zyskamy folgę, może się znajdzie jaki inny ratunek, i tu zerwiemy. Zdaje mi się, że trochę się poumizgać nie powinno ci być ciężko?

Okropny uśmiech chorego tym słowom towarzyszył: iskrzącemi oczyma, badawczo spojrzał na syna. Ten właśnie z wielką precyzją ślinił i obcinał cygaro, zadumany, wykrzywiając usta (niewiadomo z powodu wniosku, czy cygar) i zapaliwszy Hawannę, odpowiedział:

— Wszystko to hrabio, pozwól sobie powiedzieć, trąci szalbierstwem.

— A! jeśliś taki skrupulatny, — zawołał hrabia żywiej, — no, to panna ma więcej trzechkroć choć w perkaliku chodzi; to znaczy tyle, co posag twej matki, a dziś nasz cały majątek nie wyniesie trzechkroć, więc się sobie z nią ożeń.

— A! bardzo dziękuję, — odparł Sylwan, — wieśniaczkę taką, koczkodana wziąć, cóżbym z nią robił? Potem zdaje mi się, że mając się sprzedać, mógłbym wziąć za siebie tyle przynajmniej, ile Cesia.

— Nie zawsze tak się trafi.

— Za pozwoleniem hrabio, chciej pamiętać że mowa o mnie! Zdaje mi się — z udaną skromnością dodał Sylwan, — że podobnych mnie młodych ludzi na setki u nas nie liczą.

Hrabia był w tej chwili jasnowidzenia, w której niezawsze są ludzie: uczuł całą śmieszność głupiej zarozumiałości Sylwana i na jakie go musiała narazić zawody.

Ruszył tylko ramionami i zamilczał.

— Zresztą, — rzekł Sylwan, — pojadę, zobaczę — ale nierychło. Muszę sobie dać czas zapomnieć o tęj babie, która mnie tak wyłajała.

— A! zachciałeś! na cóżbo jej było dawać pieniądze?

— Mógłżem pomyśleć, że ich odmówi?

— *Qu'on se le dise!* pieniądze!!

Gdy się tak Sylwan wybiera jechać do Wulki, a upokorzenie zmusza go zwlekać, bo wstyd mu po raz setny probować, co się tyle razy nie udało; Wacław z osłabienia wychodząc powoli, upodobawszy sobie

starca i jego skromny domek, siedział tu jak dziecię rodziny, pieszczony, codzień przy Frani, codzień z nią razem, narażony na nieuchronne zakochanie!

Długo obraz Cesi dumnej, zimnej, rozkazującej dziewczyny, był tarczą, co go osłaniała od nowego uczucia; ale widując Franię codzień, oceniając jej łagodność, dobroć, i w piękne jej wpatrując się oczy, które tak żywo za serce ręczyły, powoli pomyślał naprzód sobie, czemuto Cesia do niej niepodobna? potem gorzkiemi wyrzuty odtrącał nowy obraz od siebie, zacierał wspomnienia kilku chwil przelotnych, na wpół gorzkich, wpół miłych, co całe miłości jego stanowiły dzieje; nareszcie rzekł sobie: Czemużem jej nie kochał?...

Od tego słówka, do przywiązania namiętnego nie było daleko.

A Frania? Frania z sercem zupełnie wolnem, naprzód litością ku niemu zdjęta, potem powoli pociągniona powabem człowieka, jakiemu równego jeszcze nie spotkała: z samowolnością pieszczonej dzieciny rzuciła się w nowe dla siebie uczucie.

Brzozosia śmiała się pocichu, patrzała, widziała i nie wiem jaką siłą nadludzką niesłychanie się męcząc, utrzymała język za zębami. Kurdesz zdawał się niczego nie domyślać.

Chory młodzian codzień milszym się stawał wszystkim w Wulce, codzień więcej zajmował prostą wiejską dziewczynę, która czuła wyższość jego i do niej leciała jak ptak do słońca. Tak miło słuchać jej było gdy opowiadał zajmujące przygody życia swego, chociaż z nich wyrzucał co tylko ludzi obwiniać mogło.

Kurdesz spojrzawszy w oczy Wacławowi, uznał go uczciwym, poczuł dla niego sympatją, nie bronił córce

przebywać z nim większej dnia części, i zostawiał ich przy Brzozosi zupełnie spokojny. Nie obawiał się on zdrady ani podejścia; zresztą może głos mu szeptał tajemny, że los nastręczał uczciwego zięcia, a córce męża, w którego ręce śmiało przyszłość jej powierzyć może. Jak Wacława pan Jacek ocenić potrafił, tak daleko od niego będąc wyobrażeniami o ludziach i życiu, wytłumaczyć nie potrafię: sądzę, że tu serce nad wszystko działać musiało, że wiodło go przeczuciem.

Życie w Wulce tak od niejakiego czasu było miłe, dnie biegły tak rączo wszystkim, że choć widocznie przychodził do zdrowia gość, nie pilno mu było uciec z pod strzechy rotmistrza i wyjrzeć na świat, który teraz całkiem się nowy dla niego otwierał. Wieść o odkryciu tajemnicy jego pochodzenia, piorunem rozbiegła się w sąsiedztwie; nikt jednak tyle jej nie uczuł, choć powszechnie zajęła wszystkich, co Dębiccy. Ci się uspokoić nie mogli; sam nie mógł się nagadać o hrabi, którego miał za nauczyciela przy dzieciach; sama łamała ręce z desperacji, że się tak z nim obchodziła nieprzyzwoicie.

— Ale któżby się był domyślił — powtarzali oboje — taki niepozorny, tak pokorny, tak potulny! Szkoda, żeśmy o tem wprzódy nie wiedzieli, byłoby się nam to przydało: przez niego weszlibyśmy w świat, poznali z sąsiedztwem, a tak — gniewać się musi śmiertelnie!...

Wacław się przecię nie gniewał wcale, bo nawet nie myślał, że są Dębiccy na świecie. Uzupełniwszy dowody swej rodowitości i przez kogoś nastręczonego od księdza Warela prawnie w Żytkowie swe nowe położenie uregulowawszy, pewien już, że mu nikt zaprzeczyć nie może imienia ojca i czci nieszczęśliwej matki,

8*

nie spieszył się z dopominaniem o majątek. Tak mu dobrze było chorować w Wulce z Franią, ze starym Kurdeszem, z księdzem Warelem i kilką poczciwymi sąsiadami, co ich odwiedzali! Za drzwi nawet dziedzińca nie bardzo się kwapił; wstrzymywano go też serdecznie jak tylko umiano po staroświecku, targując się o tygodnie, o dnie i godziny do upadłego.

Hrabia także do zdrowia powoli przychodził, ale ozdrowienie jego było raczej przemianą choroby ciężkiej, ostrej, w lżejszą a chroniczną; kaszel, bezsilność, drażliwość, smutek zostały mu w spuściznie. Spędzał czas na przechadzce po pokoju, na leżeniu w fotelu, i tylko dla Farureja przenoszono go czasem w lektyce z oficyny do pałacu.

Farurej coraz był gorętszy. Cesia zdawała się ostygać dla niego; nie cofała się jeszcze, ale tak była smutną, pogrążoną, zamyśloną, jakby dopiero teraz przeglądać zaczęła w zgotowanej sobie przyszłości. Wacław, który się od niej odsunął, droższym był dla niej teraz niż kiedy; dumała o nim, pragnęła go pociągnąć, wymyślała środki, łamała głowę i gniewała się na niego i na siebie. Farurej tymczasem urzędownie się oświadczył, został przyjęty, ale gdy przyszło naznaczyć czas wesela, Cesia tak zwlekała, tak odkładała pod różnemi pozorami, tak mu się wymawiała, że musiano zgodzić się na przeciągnienie terminu do roku prawie.

Sylwan, którego hrabia naglił, ażeby jechał do Wulki, odkładał także, nie smakując wcale w tym sposobie wypraszania się od wypłaty długu. Smutno było w Denderowie; hrabia i hrabina od niejakiego czasu nie mówili do siebie, tylko z przekąsami lub

szyderstwem, a najczęściej ledwie się przywitawszy milczeli. Sylwan rzadko kiedy usta otworzył, Cesia wchodziła do salonu, i wychodziła obojętna, grała tylko zajadle na fortepianie i dalekie piesze odbywała przechadzki.

Smoliński odprawił się, przenosząc na dzierżawę, która być miała tylko stopniem przejścia do dziedzictwa. Po wszystkich kątach czuć było pustkę i blizki upadek; mury nawet jakby to przeczuwały, poczynały się rysować i pękać zawczasu.

Pomimo tego smutku powszedniego, gdy goście przybyli, gdy sąsiad zawitał, wszyscy przybierali na przyjęcie jego pożyczane twarze, chwilową wesołość, żywość i śmiech potrzebny, by się pokazać ludźmi wyższemi nad los i doskonale pewnemi, że ich żadna nie dosięże katastrofa. Hrabia swą bladość i kaszel pokrywał rumieńcem zmęczenia i śmiechem, hrabina wdzięczyła się do niego najczulej, Cesia prześladowana Farurejem, dumnie przyjmowała przekąsy, a Sylwan perorował o kolejach demokracji, jak gdyby w istocie w nią wierzył i żądał jej. Niekiedy nawet spór z ojcem odnawiał się z całą dawną świetnością argumentów, stawali przeciw sobie szermierze: jeden jako filozoficzny reformator społeczności, drugi jako przedstawiciel starego świata. Walczyli żwawo, okazywali zręczność i siłę, a nikt nikogo nie ranił.

A potem, potem i ci co te sceny grali, i ci co ich słuchali, rozszedłszy się ruszali ramionami, uśmiechali do siebie, a w Denlerowie wszystko wracało do znużenia, milczenia i smutku.

Hrabia niepomału myśleć musiał, co oddać Wacławowi; przyznanie go pociągało za sobą niechybny roz-

dział majątku, a największa była trudność w tem, jak podzielić bańkę mydlaną, którą dość dotknąć, by prysła.

Odwlekał od dnia do dnia, od jutra do jutra, a że Wacław o nic się nie dopominał, i nie obiecywał być ciężkim w interesie, codzień w myśli zmniejszał hrabia schedę, i przyszło do tego, że mu jednę z najgorszych wiosek, odłużoną w banku, przyległą Wulce, postanowił wydzielić, oceniając w najdziwniejszy sposób.

Wacław w milczeniu przyjął co mu dano i pokwitował ze wszystkiego. Wielki ciężar spadł z bark hrabiemu, który tak był rad, że na chwilę pożałował iż mniej jeszcze nie wydzielił, a wyżej nie oszacował. Wstyd mu wprawdzie było tego uczynku przed własnemi dziećmi, a gorzej przed obcymi, którzy mizerny ten udział widzieli i zrozumieli; ale interes własny zagłuszył głos sumienia, a sądy ludzkie nie dochodziły do hrabiego.

Wacław już się więc miał dokąd przenieść, miał dom własny, swój kątek na ziemi i chleb nie proszony. Jakże był z tego szczęśliwy! Zdawało mu się, że najłatwiej na tem małem poprzestać, nie żądał więcej i zarzekał się że nigdy nie zechce. Trafem wieś Palnik wyznaczona mu, była niegdyś za życia dziada obranem chwilowo przez ojca jego mieszkaniem; zastał w niej jeszcze choć zatarte ślady pobytu Henryka, a to mu ją dziesięćkroć milszą i droższą czyniło jeszcze.

Palnik jak wiele wiosek wołyńskich czepiał się na wzgórzach, pokrytych gajem dębowym, brzozowym i osikowym: wdzięczny był widok na wioskę i ze wsi, u której stóp po zielonej wijącej się wśród wzgórzów łące, przebiegała niebieska rzeczułka, błyskając gdzie-

niegdzie z pośrodka trzcin źwierciadełkiem swej wody. W dali widać było kilka wiosek rozsypanych w dolinach i po wzgórzach, laski i pasieki jakby umyślnie dla ozdoby krajobrazu pozostawiane, i pasma dalekie borów poleskich od strony Smolewa. Dwór od dawna opuszczony, bo w nim tylko ekonom mieszkał, stał na pochyłości wzgórza, otoczony zarosłym ogródkiem. Znać było, że starą tę budowę przed laty kilkudziesięcią ktoś już nieco przerabiał, domurowano do niej parę porządniejszych pokoików, otoczono drzewami, a te dziś podrosłe tworzyły cień, puszczając gdzieniegdzie między gałęźmi oko na sioła, łąkę i rzeczułkę. Ustroń ta tak przystała do serca Wacławowi, tak ją od razu pokochał, tak mu miło było żyć, gdzie żył lat kilka nieznany mu ojciec, iżby ją na Denderów nie zamieniał. Sąsiedztwo Wulki dodawało jeszcze wartości Palnikowi; a i Smolewa wieżyczka na widnokręgu czerniała.

Prędko oczyszczono dla niego domek, przygotowano wszystko do zamieszkania; i choć jeszcze osłabiony, postanowił opuścić rotmistrza, prosząc tylko, by go na nową siedzibę przeprowadził, i starą a poczciwą ręką strzechę pobłogosławił.

Z Wulki tak było blisko do Palnika, że domki patrzyły na siebie; przejść tylko wąwozem ocienionym krzakami róż dzikich, białego głogu, tarniny i bzów, i kawałkiem wioski, i stałeś w dziedzińcu sąsiada. Cieszyło to niezmiernie Brzozosię, że się tak wszystko doskonale jakoś składało, że pan Wacław nie oddalał się; zmuszona wyrzec się pierwszego swojego projektu, przy drugim trzymała się uparcie, przypuścić nie mogąc, by ją i to zawiodło.

Z doświadczeuia, jakiego nabyła teraz, nie wyrywała się już ani mówić z Franią, ani rozwodzić nad swemi projektami; milczała, choć się za język gryzła, a cieszyła się, że ludzie i losy zdawały się sprzyjać wyrokom niechybnej kabały.

O już co teraz to nie chybi! — mówiła do siebie, spoglądając ukośnie na Franię i Wacława siedzących w ganku. — Frania widocznie ma do niego słabość; bawi go nibyto, że chory, a on tak chory jak i ja.... Ojciec zdaje się za tem... no! i ja także! Kabała nie darmo wskazywała na Denderę; jeszcze tak blizko mieszkać będzie: niechybnie się pobiorą.... albom ja ze wszystkiem głupia. Tamten jak sobie chce, tamto paniczykowate, Bóg z nim, chciał się pobawić, nie żenić; ale to uczciwy człowiek, bardzo uczciwy człowiek! dwa razy mnie w rękę pocałował, gdym mu dawała lipowy kwiat, i grzeczny... zawsze mnie po tytule nazywa.

Właśnie na to mruczenie nadszedł stary Kurdesz, i Brzozosia postanowiła go trochę wybadać, zaczynając zręcznie od pogody.

— Otóż — odezwała się, pokaszlując dla zwrócenia uwagi na siebie — będzie można naszego chorego przenieść do Palnika; śliczny dzień.

— A czego się to spieszyć? — rzekł stary. — Jeszcze tam nielad; może i jeść nie znajdzie czego.

— Już to prawda! A w dodatku on taki nie gospodarz, żadnej kobiety w domu nie ma, sam mężczyzna rady sobie dać nie może.

— Prawda to Brzozosiu, ale za to cicho mu będzie i spokojnie.

— I nudno, panie rotmistrzu! — dokończyła Brzo-

zosia. — Jużto nie chwaląc się, ale bez nas zawsze klasztor. Tylko że to młode a poczciwe, pewnie się prędko ożeni.

— Z czegoż to tak wnosicie? — spytał rotmistrz.

— Zwyczajnie, młody i przystojny, familiant, ma trochę grosza: czyto on sobie nie znajdzie takiej, co za niego pójść zechce?

— Ale ba! a czy on się żenić zażąda, to kwestja, panno ciwunówno! — śmiejąc się rzekł stary wojak.

— Zdaje mi się, że nie od tego — odparła Brzozosia uważnem wejrzeniem mierząc gospodarza. — Nie mówiąc i nie myśląc nic złego, ale i z Franią całemi godzinami siedzieć gotowi.

Rotmistrz udał że nie dosłyszał, zawołał w tej chwili na parobka, który konie prowadził. A nie dawaj tak pić jednym ciągiem! przerywaj! A siwkę tam wystrzygłeś?

— Zdaje mi się — nalegając powoli dodała Brzozosia — że i Frania na niego patrzy bardzo miłosiernem okiem.

— Coto za zabudźko z tego Hryćka — powtórzył rotmistrz, nie chcąc usłyszeć co mu szeptano i wygadywać się przed Brzozosią.

— A wy jak myślicie panie rotmistrzu? — wystrzeliła panna ciwunówna.

— Co? kochana Brzozosiu! — śmiejąc się filuternie i podając jej tabaki, rzekł rotmistrz — o czem? o Hryćku?

— Jak gdyby nic nie słyszeli co mówiłam.

— Albożeście co o kim mówili?

— E! nie udawalibyście głuchego. Mnie się zdaje, że się tu coś święci, i wyświęci lepiej niżeli pierwszą razą...

— W Bożej to mocy! w bożej mocy! — szepnął rotmistrz — a mnie czas pacierze mówić. Przepraszam... *In nomine Patris...*

Panna Brzozowska odejść musiała i poszła do Frani. Frania siedziała w pokoiku bawialnym, a Wacław nieco opodal za stołem czytał jej coś Kniaźnina. Słuchała i pojąc się harmonią wiersza i myśli nowych dla siebie, zdawała się w jakimś pół-śnie czarownym zatopiona; ze zwieszoną główką, z założonemi rękoma, patrzała na czytelnika, dumając, nie wiem, o nim, czy o poecie?

Na widok Brzozosi, jakby ocucona, wzięła się Frania do roboty, i wesoło pocichu odezwała się:

— Siadajno, siadaj i posłuchaj jakie to piękne!

Posłuszna ciwunówna usiadła, ale nie wytrzymała i odpowiedziała:

— Piękne, bo pan Wacław czyta!

Frania sie zarumieniła, z wyrzutem spojrzała na nią, a Wacław słysząc ich szepty prędko skończył czytanie, zamknął książkę, wstał i zapowiedział, że musi odejść do Palnika.

— Jakto? dziś? — spytała żywo Frania — o! nic z tego nie będzie, my pana nie puścimy! Ojciec na to nie pozwoli. Jakże można, słabemu jeszcze chcieć uciekać tam, gdzie żywej duszy nie ma.

— Dziękuję pani, to dawny projekt; siedzę tu już tak długo.

— To panu się tak zdaje — przerwała Frania. — A pamiętasz pan, że i ksiądz Warel i doktor Szwarc zabronili panu, do zupełnego wyzdrowienia, myśleć nawet o domu.

— Ależ ja jestem całkiem zdrów! — rzekł Wacław.

— Brzozosiu! świadczę się tobą, czy to można na-

zwać zdrowiem? Naprzód pan pokaszlujesz, jesteś blady, mizerny.

— Panu jeszcze widocznie potrzeba pić ziółka nasze — głośno zachuczała ciwunówna — trzeba się dozwolić pielęgnować i nudzić. Idę z ganku od rotmistrza, i on tego samego zdania; siła złego kilku na jednego: trzeba się poddać.

Wacław uśmiechnął się wdzięcznie, dziękując.

— Ależ doprawdy — rzekł — ja tu tak zawadzam.

— Któżto tak mówi, czego nawet nie myśli — przerwała urażona Frania rumieniąc się cała — albożto pan nie widzisz jak nam tu z nim dobrze? Pan nas bawisz, uczysz, czytasz nam... jeszcze zamiast przyjąć podziękowania, udajesz, że się czujesz natrętnym.

O! jak ona to ślicznie powiedziała — w duchu zawołała Brzozosia — jak z książki. No!. no! poczekawszy, gotowa wiersze pisać!!

— Dziękuję pani za te wyrazy przychylne, do których jeszcze nie przywykłem w życiu — odpowiedział Wacław. — Ale doprawdy, czy się to godzi, żebym tak waszej gościnności nadużywał? ludzie tak są źli...

— A cóż nam do ludzi? — spytała Frania.

— Jużciż pan Wacław ma racją — odpowiedziała Brzozosia. — Mogliby gadać, ale pan byłeś chory...

Frania udała, że się zajęła robótką, ale spojrzała na Wacława z taką prośbą i wyrzutem razem, iż zamilkł i w miejscu pozostał. Brzozosia tymczasem dobyła z szufladki stare karty, i poglądając na nich, zajęła się kabałą. Oni zbliżyli się do siebie i szeptali.

W tej cichej rozmowie, która płynęła jak strumyk po czystem dnie piasku, Wacław mimowolnie porównywał Cesię z Franią, i widział w niej nieznane tamtej

przymioty: łagodność, dobroć, prostotę. Może tych cnót nie byłoby mu dosyć, ale czarodziejskie oczy, świeża a pełna wyrazu twarzyczka, dźwięk głosu prześliczny, i coś uroczego w całej postaci, uosabiały je tak anielsko! Jakże różną, jak piękniejszą wydała mu się ta śliczna dzieweczka, dziecię słomianej strzechy, od wymuskanej córki pałacu, której ulubioną zabawką, igraszką codzienną, było znęcanie się, dręczenie, sprzeciwianie, szyderstwo! Przecież pociągało go jeszcze ku tamtej wspomnienie, coś niewytłumaczonego, co jak przepaść nęci; tu się czuł spokojnym, szczęśliwym w pełni życia, a myślą biegł po udręczenie do tamtej jeszcze. Byłto już ostatek niedogasłej a stłumionej namiętności.

Frania... Frania puściła wodze swojemu sercu, które raz pierwszy przemówiło w niej, i powiedziala sobie: — Ojciec pozwoli, bo ja go kocham... Ale możeż on kochać prostą wieśniaczkę?...

I nieraz smutne ogarniały ją myśli, i pytała kwiatków, pająków, muszek, wróżb wszelkich, a serce odpowiadało za kwiaty i stworzenia. Czemużby cię nie kochał? czyż nie kochając, takimby patrzał wzrokiem? tak miłemi kołysał słowy, tak posłusznie kierować ci się dawał?

Wyszedł Wacław po chwili, a Brzozosia ścignąwszy go oczyma do drzwi, roześmiała się zcicha i przysuwając do Frani z kartami, spytała:

— A co serce? gdyby ci kazali teraz pójść za kogo innego nie za niego, cobyś powiedziala?

Wychowanka spuściła oczy, tak trudno jej było skłamać.

— Moja Brzozosiu — wyjąknęła niewyraźnie — czy ja wiem?

— Ot! przyznaj się lepiej: wy się kochacie, a nawet

nie spytawszy jegomości o pozwolenie?

Zmilczała Frania, ale milczenie jej wymowniejsze było od odpowiedzi.

— O! mnie nie oszukać — ciągnęła dalej Brzozosia — ja widzę, że tu już coś jest, kochacie się... Ale cóżto złego: uczciwy, i dobry, i biedny chłopiec...

— O! prawda! taki biedny! — naiwnie odezwała się Frania.

— I dobry, i ładny...

Frania zamilkła, spuściła oczy na robotę.

— Moja Brzozosiu, czybyto on mnie zechciał?

Na te słowa ciwunówna porwała się z krzesła, wzięła w boki.

— Słyszałam! — krzyknęła — a któżbyto śmiał odmówić takiego szczęścia! Cóżto tobie braknie? Młodość, uroda, pieniądze, imię szlacheckie a poczciwe...

— Moja Brzozosiu, ale patrz jak my z innego świata, on taki rozumny, uczony, a ja...

— Albożto ty na kobietę mało umiesz — spytała ciwunówna — proszę mi znowu nie ujmować, wychowałam cię jak potrzeba! Radabym widzieć ktoby cię nie zechciał! Ba! albomto ja ślepa i z oczów mu nie widzę w co on gra! Cha! cha! I jakby sam Pan Bóg kartował, dali mu Palnik, tuż przy Wulce, bok z bokiem, jak jedno, jak naumyślnie...

Mówiły tak, a Wacław wchodził do swojej izdebki, gdy tętent koni i huk zajeżdżającego powozu dał się słyszeć.

Obie pobiegły do okna, po koniach, po powozie, zaprzęgu, poznały Sylwana i stanęły jak wryte.

— W Imię Ojca i Syna, i ten tu jeszcze! śmiejąc się szydersko szepnęła Brzozosia — patrzajcie, chłopcy

za nią poszaleli... Otóżto to lubię... ale nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło — dodała pocichuteńku.

Ale Frania jakby przeciwnego byla zdania, zabrała spiesznie robotę i pobiegła schować się do swego pokoiku.

Rotmistrz przyjął Sylwana w ganku ze zwykłą uniżonością; pokłonił mu się do kolan prawie, i otwierając drzwi, wprowadził dość kwaśnie hrabiątko, do bawialnego pokoju.

Rozmowa naciągana z różnych stron, jakoś rozpocząć się nie mogła. Sylwan bąkał rozparty w krześle o deszczu i polowaniu, patrzał po suficie, mieszał się, oglądał.

— Gdzież panna Franciszka? — spytał wreszcie.

— W swojej izdebce — rzekł szlachcic — ale darujesz mi JW. hrabia — dodał zaraz — jeśli to dawne projekta; wszak już wiem od szanownego ojca, że z tego nic być nie może.

Sylwan z widocznym wstrętem i przymusem przerwał staremu:

— Ojciec mój przekonany przezemnie, zgodzi się na wszystko, co szczęście moje stanowić może.

Starzec zdumiał się trochę, zamilkł, zastanowił.

— W istocie? — spytał.

— Tak jest, tak jest! — szybko kończył Sylwan — możecie go spytać sami.

— Wielki to zaiste honor dla mnie i mojego dziecka — kłaniając się odparł Kurdesz — a zatem nic już nie mam do odpowiedzenia, i owszem najgłębsze składam dzięki... ale...

Sylwan, który się już żadnego *ale* nie spodziewał, ogromne i gniewne zrobił oczy na starca, a ten kończył poważnie:

— Ale to wszystko teraz od córki mojej zależeć będzie.

Zagryzł usta gość, zapalił cygaro i odwrócił rozmowę.

Po chwilce weszła Brzozosia bardzo krochmalna i najeżona, a za nią Frania, którą Sylwan znalazł zmienioną, poważniejszą, obojętniejszą, prawie pogardliwą. Zasiadły na kanapce, Sylwan zaraz się ku nim obrócił.

Widok ładnej dzieweczki, chęć zwyciężenia doznanych tu przeszkód i przykrości, wywołały choć nie bardzo szczerą wesołość. Stałość, jak sądził, winna mu była zjednać względy panny, zresztą pojąć nie mógł, jak nim! nim! wzgardzićby można, jakby go ze stu nie wybrać!

Począł więc zaraz ze swoją zwykłą zarozumiałością prawić jej najniedorzeczniejsze komplementa.

Ale jakże się dziko wydał wiejskiej dziewczynie po Wacławie: nic w nim dla niej nie było wdzięcznem i podziwu godnem, lękała go się raczej i wstręt czuła bardziej niż skłonność. Sylwan wedle swych wyobrażeń zniżać się musiał, by być dla niej zrozumiałym, ona go przecie pojąć nie mogła; nie było myśli, na którejby się spotkali, tak ogromne dzieliły ich przestrzenie. Wacław był sercem cały, ten cały głową i chłodem; w tym żyła dusza silna, tu rozbudzone tylko zmysły. Przytem było w nim tak coś przesadnego, tak nienaturalnego, tak niepomiarkowanie szyderskiego; rozmowa jego tak wyłącznie żywiła się bliźnim, tak była mięsożerna, jeśli powiedzieć wolno, że Frania z biciem serca, z obawą, czekała tylko jej końca.

Wśród tej rozmowy, Wacław o którego pobycie w Wulce nie wiedział Sylwan, (bo co go obchodził stryjeczny?) nagle ukazał się we drzwiach; a przybycie

jego zdziwiwszy, zbiło i zmieszało hrabiego. Pierwszyto raz od owego uznania spotykali się z sobą. Przeszłość i obchodzenie się wzgardliwe Sylwana z Wacławem nie mogły być jeszcze zapomniane; dziś zmienił się ich towarzyski stosunek, uczucia pozostały czem były, powierzchownie jednak braćmi kazała się uważać przyzwoitość.

Z uśmiechem spojrzał na gościa Wacław, Sylwan na niego z gniewem, jakby na natręta, przywitali się zimno.

— Brat pański uczynił nam ten zaszczyt — odezwał się rotmistrz — i przyjął na czas jakiś gościnę w domku naszym... był chory.

— Był chory! — powtórzył Sylwan.

— A czemuż nie przybył do Denderowa? — zapytał po chwili ciszej.

— Dziękuję ci; byłbym zawadą, wiem, że hrabia chorował także.

— Tak, teraz już jest nieco lepiej.

Sylwan zmieszany niespodzianem spotkaniem, stracił wesołość nagle i przeczucie nowego upokorzenia napoiło go żółcią; widział się znowu niepotrzebnie wystawionym na odmowę, zniżonym nadarmo; pewien był, że Wacław, który od nich tyle wycierpiał, musiał też rotmistrzowi czarno cały Denderów odmalować, choć w istocie tak nie było. Sylwan nie byłby uwierzył choćby mu przysięgano; tak z siebie sądząc, niepodobieństwem sądził wstrzymanie się od łatwej zemsty. Zwarzony temi myślami spojrzał na zegarek, przemówił coś do Frani, która właśnie w myśli ich obu porównywała, zabawił chwilkę zakłopotany widocznie, i poprzysięgając sobie w duchu raz setny, że noga jego

w Wulce nie postanie, pożegnał zatrzymujących go grzecznie, siadł do powozu i uciekł.

Nie potrafimy odmalować, co się w sercu jego działo: byłoto uczucie tak przykre, jak gniew bezsilny, jak upodlenie odepchnięte, jak boleść pysznego, którego zepchnięto z podstawy; coś na drobną skalę na kształt uczucia szatana, w chwili, gdy ręka Boża rzuciła go w otchłań bezdenną. Po półgodzinnej drodze podniósł przecie czoło zmarszczone:

— Co mi tam! — zawołał — co mi tam, co mnie to obchodzić może? ojciec niech o sobie myśli! Ja łatwo świetną partję znaleźć mogę! Lecz któżby przewidział, że tam zastanę Wacława!

Tak na przemiany to gryząc się, to pocieszając, cały zburzony powrócił do Denderowa i wprost udał się do ojca.

Smoliński usuwał się właśnie z rachunkami, które zdawał jeszcze, a rachunki te przykre na starym hrabi robiły wrażenie, widoczne w twarzy drgającej gniewem i wzruszeniem, gdy Sylwan wszedł a raczej wpadł jak burza; nasępiony, chmurny, obejrzał się i z pasją zawołał:

— Śliczniem wyszedł znowu, niech ich djabli porwą!

— Cóż się stało? co się stało? — niespokojnie podchwycił ojciec.

— Zastałem tam już podobno od kilku tygodni chorującego Wacława.

Zamilkli. Więcej nie potrzeba było staremu; zagryzł wargi i rzucił się na kanapę.

— Jużciż — rzekł po chwili — gdyby szło o wybór...

— Nie tu moje miejsce — oburzył się Sylwan — ocenić mnie na tej parafii ani mogą, ani potrafią; to myśl dzika! Mam postanowienie niezachwiane: zrobisz sobie hrabio z tym szlachcicem co ci się podoba; ja

jadę do wód Druskienickich, do Buska, na Litwę, na Podole, na Ukrainę, do Warszawy, znajdę gdzieś bogatą dziedziczkę i ożenię się.

— Żeń się, żeń, i owszem — uśmiechając się boleśnie odparł ojciec — byle ci się udało, błogosławię; ale dotąd nie możesz powiedzieć, żeby ci bardzo los sprzyjał.

— Bom go też nie probował — odrzekł kwaśno Sylwan — Jutro w drogę ruszam.

— Więc tu ani chcesz sprobować?

— Nie, nie, dosyć już tego, wstręt mam od nich, brzydzę się tą pleśnią, mam jej póty — wykrzyknął z gestem znaczącym.

Ojciec zamilkł, usiadł w krześle, dumał; wtem weszła Cesia.

I ona była niecierpliwa, smutna, kwaśna od niejakiego czasu; nie spodziewała się wcale, że po nową przykrość spieszyła do ojcowskiego łoża.

— Jakże się papa ma dzisiaj? A ty Sylwanie?

— Ja, jak zawsze — dodał Sylwan.

— Wracasz z sąsiedztwa?

— Nie pytaj mnie zkąd.

— Nie potrzebuję pytać, byłeś naturalnie w Wulce! cały świat mówi o twoich dziwnych amorach...

— Amorach? dajże mi pokój! Jest tam ktoś co mnie podobno uprzedził.

— Cha! cha! — zawołała Cesia — i Sylwan zwyciężony, zapewne przez jakiegoś kapotowego szlachcica?

— O przepraszam: lepiej, bo przez Wacława.

Cesi twarz zmieniła się nagle jakby ją co za serce ścisnęło: pobielała, zmieszała się widocznie; lecz wracając zaraz do zwykłego panowania nad sobą, dodała:

— Można się było tego spodziewać, to partja tak dla niego stosowna! — I milcząca poczęła chodzić po pokoju podśpiewując.

Ani ojca, ani brata oczu nie uszło jednak zmieszanie Cesi i jej boleść, szybko stłumiona pozorem obojętności; oba wszakże udali, że się nic nie domyślają. Jak błyskawicą mignął staremu domysł przez głowę, ale go zniszczyło wspomnienie, że Wacław rękę Cesi odepchnął. Sylwan, który podobno od ojca więcej wiedział czy się domyślał, uśmiechnął się do siebie.

Nadchodząca hrabina przerwała dość już kłopotliwe wszystkich milczenie.

W kilka dni po wypadkach, któreśmy opisali, hrabia wyszedł o lasce ze swoich pokojów do pałacu z powodu przybycia Farureja. Oprócz niego było kilku sąsiadów: Cielęcewicz ze swemi perory głośnemi, rotmistrz Powała i niejaki pan Maurycy Hołobok, figura problematyczna, świeżo ze stolicy, od niejakiego czasu z domu do domu włócząca się po sąsiedztwie.

Byłto z powołania literat, niezmiernie misją swoją nadęty, niesłychanie pewien, że był mocarzem, stąpający jakby nim ciągle miotało natchnienie, decydujący o wszystkiem z góry, rozprawiający najczęściej o stolicy, z której wprost zjechać raczył; wspominający co chwila imiona magnatów, których się tytułów wyuczył w litografii na wizytowych kartach, oryginał nieoszacowany, próżniak, frant, wykpi-grosz i głupiec jakich rzadko.

Z nieporównaną naiwnością rozpowiadał wszystkim w ogóle, że zjechał na prowincję dla obudzenia w niej życia. Środkiem ku temu było pismo jakieś, mające się gdzieś i kiedyś wydawać, a prenumerata na nie narzucana w imię dobra literatury, uważała się za symptomat tego życia.

Pan Maurycy Hołobok (herbu tegoż nazwiska), wywodził się z bardzo jakiejś znacznej rodziny, i niemało pysznił prozapią swoją, choć jego tatulo był ekonomem tylko. Dużo się podobno nakręcił po świecie, nim się zdecydował zostać literatem. Probował różnego chleba: sprzedawał w sklepie, guwernerował, spekulował, aż nareszcie że czytać umiał i pisał niewyraźnie, uczuł się usposobionym do literatury. Na literata, pytam się, czego dziś potrzeba? umieć trochę czytać i jako-tako gryzmolić, zresztą byle śmiałość, czoło, byle trochę odwagi porwać się wysoko, zaczepić, zaszumieć, zakrzyczeć, więcej nie wymagają. *Usus te plura docebit.*

Nie mogąc pisać, bo utworzyć nic nie był w stanie, nasz pseudo-literat postanowił tłumaczyć, kraść i cudze wydawać. Kilka próbek przekładów dokonanych bez znajomości języka, wydrukowanych niepotrzebnie, tak go już postawiły na nogach, że kazał odbić portret swój royal-folio w postaci głęboko zadumanego pracownika nad ksiąg stosem, z fac-similą i datą urodzenia. I poszedł dalej: począł prawić o swej misji literackiej, drukować lichoty, narzucać je wszystkim, marszczyć czoło i grać rolę wielkiego człowieka.

Zarozumiałość posuniona do szaleństwa i obłąkania prawie, stanowiła cechę wybitną tego ciekawego typu. Dość było spojrzeć na niego, by się przekonać, jak wysoko się cenił: szedł z szacunkiem dla nóg swoich, zawsze zamyśleniem brzemienny, wiecznie pełen admiracji dla cudzych myśli, które z prestigiatorską zręcznością na swoje przerabiał i puszczał za swoje. Wszystkim mniemał się równym i traktował cały Boży świat na stopie równości lub niższości, bo wyższych

nad siebie dojrzeć nie mógł. Jestto zwykłe stanowisko zakamieniałej głupoty.

Trafiało mu się mówić naprzykład:

— Ja i minister jeździliśmy... Lub:

— Ja i Goethe zarówno lubimy...

Wyszedł ze szkół nic prawie się nie nauczywszy; złej francuzczyzny trochę liznął na świecie, zresztą nie czytając nic, nic nie lubiąc namiętnie prócz wygód życia i zbytku, którego pragnął, literaturę mając tylko za narzędzie: pracował nad utworzeniem sobie aureoli, spodziewając się z aureolą ożenić bogato i chapnąć majątek, na który nie pracował: *hoc erat in votis!!*

Wziął się tedy do kucia swej korony i wynoszenia swego pisma, bo ono miało być jego życiem. Niestety! kończyło się wszystko na zbieraniu trochy grosza i traceniu go na hulance; ale w ustach pana Maurycego, który się wyuczył jak papuga systemu literackiego powołania swego, przepysznie świetniały powody i cele!!

Nie umiejąc języka, pracował dla języka; nie będąc pisarzem, poświęcał się dla literatury; nie mając grosza, był wydawcą; niemając talentu, pożyczał go u drugich i na swój przerabiał, słowem, byłto wielki człowiek! A jak swą wielkość nosił dostojnie!!

W stolicy narobiwszy długów, okazawszy zbyt jasno i wyraźnie, nie czem chciał być, ale czem był, popasać dłużej nie mógł i wysunął się na prowincję czmucić poczciwych wieśniaków, którzy święcie wierzą w słowa a jeszcze bardziej w rzeczy drukowane. Tu postrzegł zaraz, że prowincja potrzebowała organu, jak się wyrażał; wezwał ludzi skromnych a daleko wyżej usposobionych od siebie do współpracownictwa, i obowiązał się, byleby mu dostarczano pieniędzy i artykułów, pra-

cować nad redakcją, to jest: układać okładki, przedmowy, noty i bilety prenumeracyjne, a zabierać dochody.

Ile razy chciał co napisać sam, chociażby notę łub przedmówkę, myśli sobie gdzieś pożyczał, rozwałkował ją i podlał swoją zarozumiałością, osolił konceptem wykradzionym, i potrawa była gotowa.

Jednym słowem byłto Don Kiszot literacki.

Literat ten wszedł na salon poważnie i raźnie, wypowiedział kilka słów francuzkich, które umiał, począł się śmiać i podrygiwać udając salonowicza, jak zły aktor na wiejskim teatrze, i natychmiast z wielką admiracją Cielęcewicza przemówił z trójnoga o swojej misji wydawcy! Nie przeszkadzało mu to jednak słodko oczu zawracać do hrabinej i do Cesi. Niestety, aureola jego zbyt małym świeciła blaskiem, i kobiety więcej spoglądały na lakierowane jego bóty, niż na promienne czoło.

— Przyjechałem z powinszowaniem, — odezwał się po chwilce.

— Komu i czego? spytała Cesia.

— Wszystkim państwu, tej tak niespodzianej, olbrzymiej sukcesji, o której w tej chwili wszędzie mowa...

— Sukcesji! — pochwycił hrabia łakomie — nam! ale my o tem nic nie wiemy.

— Jakto? miałbym być pierwszym zwiastunem tej wieści złocistej?

— Ale cóż to jest? co to jest, proszę pana, któż to panu mówił? Co to za spadek? po kim? gdzie? — — zawołali otaczając go wszyscy razem. — I zgiełk się zrobił w salonie, bo co to wieść o sukcesji, o skarbach, na które się nie pracowało!

— Wszakże, jeśli hrabia Dendera żonaty był w Pa-

ryżu z córką bankiera Petit, zapewne ojciec pański (obrócił się do starego), to na pana hrabiego spada po bezdzietnym synu jego tych kilka miljonów franków, te domy i...

Hrabia upadł na krzesło, Sylwan do krwi zaciął usta, a Cesia pobladła, wzrok gniewny rzucając na Farureja; hrabina z energją obwinęła się szczelnie w mantylkę, jakby jej się zrobiło zimno.

— A! to spadek na mojego synowca — wybąknął hrabia z wzruszeniem widocznem, ale udając obojętność — nie na nas! — I westchnął tylko.

— Synowca! — zawołał literat. — Któżto jest? gdzie mieszka? Nie mam szczęścia go znać.

Ale nikt odpowiedzieć nie spieszył, i kawaler nasz postrzegł, że tylko zazdrość przyniósł do tego domu i żale. Na Cesi najwidoczniejsze było wrażenie tej wieści, bo coraz oczki ogniste topiła w bladej Farureja twarzy, z wyrzutem i gniewem. Głuche, długie milczenie padło jak ciężar niepodźwigniony na wszystkich. Cielęcewicz tylko i literat mówili z sobą o swoich marzeniach; a pan Maurycy silnie go namawiał, ażeby rzucił myśli swe na papier, upewniając, że je zaraz wydrukuje. Cielęcewicz wypłacając się jak mógł za to ochotne oświadczenie, z uniesieniem znowu kadził mniemanym teorjom sztuki i pomysłom literata, które Hołobok żywcem z pism perjodycznych stolicy pożyczywszy, wykładał.

Oba podkadzali sobie wzajemnie z najczulszą troskliwością o dobór zapachów. Na nieszczęście brakło im słuchaczów, bo wszystkich gniótł ten niespodziany, bajeczny, amerykański spadek na Wacława!!

— Szczęśliwy! — powtarzał hrabia z cytrynowym

uśmiechem, — szczęśliwy!

— O! teraz — szepnął Sylwan — ręczę, że porzuci Wulkę i pannę Franciszkę!

— Nie rozumiem, — przerwała Cesia, — co to tak wielkiego.... Spadło na niego, bardzo dobrze: niech się cieszy, nie ma co i mówić o tem.

Ale całe towarzystwo było sparaliżowane nowiną, a Farurej widząc Cesię w okropnym, spazmatycznym, szczypiącym humorze, przymawiającą już jego tupetowi, dopytującą o adres pana Fattet dentysty, czego się dotąd nie dopuszczała nigdy — nieukontentowany, gniewny na bok się usunął.

Literat tymczasem troskliwie dopytywał Cielęcewicza o Wacława, nie wątpiąc, że tak kalifornijsko zbogacony człowiek weźmie przynajmniej pięćdziesiąt biletów na jego Trzytygodnik i Dwumiesięcznik, zechce wystąpić jako mecenas, otworzy worek i dopomoże silnie do zaopatrzenia pana Maurycego w lakierowane buty, rejtfraki i łańcuszki do zegarków...

Marzył on, ta dźwignia piśmiennictwa, że najmniej sto tysięcy dadzą mu na dobro literatury, a mając je rachował, że się pokaże w Żytkowie porządnie i jeszcze porządniej ożeni. Nie chodziło tu bowiem o Trzytygodnik, ani o Dwumiesięcznik, ani o literaturę, ale niestety! o kieszeń pana wydawcy i teraźniejszą i przyszłą.

Jakoż dokładnie się dowiedziawszy zaraz o gustach, charakterze, wieku, miejscu pobytu Wacława, a widząc że w Denderowie nie tak go jakoś traktują jakby sobie życzył, choć mówił wiele o swych stosunkach w stolicy z mnóstwem książąt, hrabiów i baronów, starannie po imionach i ojcowiźnie ich zowiąc, wysunął się *a*

l'anglaise, spiesząc na pierwszy dobry humor zbogaconego młodzieńca.

Ale nie on jeden snuł już projekta na biednego, przed chwilą zapomnianego sierotę; otaczający wszyscy chciwie nań wytrzeszczali oczy, gdy on oślepiony, ogłuszony swem szczęściem, a tak do niego nieprzywykły, zdawał się nie pojmować jeszcze, jak nowe siły, nową władzę, znaczenie, nowe przymioty nawet zlewał nań majątek!

Któż odmaluje co się działo w sercu hrabiego, na widok swojego upadku obok podnoszenia się sieroty; Cesi, która dziś mieć mogła z nim wszystko co ceniła, a ukarana za chłód serca i przedajność, widziała z rąk sobie uciekające skarby!

Sylwan, dla którego pieniądze były nieprzezwyciężonym magnesem, zaczynał rozmyślać, jakby się zbliżyć do Wacława, nie wątpiąc, że mu obficie pożyczać będzie; a była tego potrzeba, bo Powała i Farurej już się grzecznie wymawiali.

W Wulce tylko wieść o spadku przykre zrobiła wrażenie na wszystkich; przywiózł ją ksiądz Warel, zastał rotmistrza koło stajni i szepnął na ucho wielką nowinę.

Stary pobladł, ręce załamał, stanął jak wryty, jakby go srogie dotknęło nieszczęście.

— Co to wam? — spytał ksiądz.

— Co? — rzekł stary — ostatnie najpiękniejsze, najdroższe moje nadzieje w łeb wzięły.

— Jakie nadzieje?

— A! kochany ojcze, nic bo ty nie wiesz: snuło mi się po głowie, że ich pożenię, ale wola Boża!

— Kogożto jegomość chciałeś tak żenić?

— A Franię moję z nim, bo się dosyć wzajemnie upodobali.

— No! więc cóż przeszkadza?

— Widzisz jegomość, — miljony! — a toćto bardzo dobry chłopiec, ale mu się głowa zawróci.

— A pfe! nie, nie, rotmistrzu! — odparł ksiądz Warel — wiele jest licha na świecie, ale dobrego jeszcze więcej: zbyt czarnych o naturze ludzkiej nie potrzeba mieć wyobrażeń. Poczekaj, przekonasz się, to chłopię pobożne, poczciwe....

— Otóż mi i dlatego żal, bom go niemal jak własne dziecko ukochał.

— Ale zobaczysz rotmistrzu, że go fortuna nie zmieni: ja jestem tego pewny, nawet sobie także osnułem projekcik na niego, jak inni spekulując już.

— Co? i wy księże proboszczu?

— Albom to ja nie człowiek i nie egoista myślicie? — zaśmiał się ksiądz wesoło.

— Ale jakieżto projekta?

— Musi mi założyć szkółkę dla dzieci i szpital dla ubogich, od tego nie ustąpię; w dodatku i kościół wyrestaurować.

— Zgoda! zgoda! zgoda! — nagle z boku odezwał się głos Wacława, który pieszo nadszedłszy z Palnika, zjawił się przy nich niespodzianie.

— A pięknie to tak podsłuchiwać?

— Przepraszam, słyszałem tylko ostatnie słowa i piszę się na to wszystko, bylebym przyszedł do tych obiecanych złotych gór; ale zawsze z warunkiem...

— Otóż jest! warunki!

— A jakże! należą mi się: fundatorem będę!

— No! jakież?

— Że poprawując kościółek, budując szkółkę, pozwolicie mi i probostwo nowe postawić.

— E! Bóg z tobą, bez tegoby się obejść można: przytułek Boży i ubodzy to pilna, a księdzu byle kąt...

Rotmistrz, który się obawiał czy go nie podsłuchano, zakłopotany trochę przywitał Wacława, spojrzawszy mu w twarz jaśniejącą błogim spokojem a nie namiętnem wzruszeniem. Widać było, że przyszedł podwoić swoje szczęście, dzieląc je z przyjaciółmi, i że jak uczuciem, tak temi skarby gotów się był dzielić.

Gdy się to dzieje przy stajni, Brzozosia, której furman księdza Warela o wszystkiem powiedział, wpadła tak rozczochrana, przerażona i zbladła do izdebki Frani, że jej dech i mowę zatamowało.

Frania zerwała się od krosienek przerażona.

— Co to jest? co to jest?

— A! a! nie uwierzysz! jak Boga kocham!... dziwy!... okropności!..

— Co to ci jest Brzozosiu?

— Pan Wacław...

— Jezu! cóż mu się stało? mów! — krzyknęła Frania, wywracając krzesło i stolik i przypadając do niej blada i przerażona. — Co mu się stało? na Boga! idźmy, jedźmy!

— Ale dajcież mi odetchnąć! — Brzozosia upadła na krzesło.

— Na Boga! choć słowo, kochana Brzozosiu, nie umarł, nie skaleczył się?

— Nie! nie!... miljony! miljony!

— Jakie miljony? Co ci kochana ciwunówno?

— Spadły na niego za morzem, nie wiem gdzie, w Ameryce, czy w Kalafonii! Bogaty okropnie! bo-

gatszy od wszystkich! jak książę, jak król! Wystaw sobie...

Frania pobladła, zawstydziła się swojego pierwszego przestrachu, i trochę urażona spytała:

— No! i cóżto tak strasznego?

Brzozosia, bojąc się bardzo, nie śmiała wytłumaczyć.

Frania powoli zbierając kłębuszki, igły i rozrzucone roboty, nic nie mówiąc, wróciła do krosien, gdy ją głosy ojca, księdza Warela i czyjeś jeszcze doszły.

Podniosła główkę: Wacław stał w oknie i po dawnemu uprzejmie ją witał, z uśmiechem, z wejrzeniem, w których nic nowego, nic zmienionego nie było.

Brzozosia na widok tego zjawiska znowu krzyknęła, ale już z radości, zwycięzko, i niepohamowana rzuciła się do okna.

— Czy to prawda, panie Wacławie? (jak jego teraz nazywać?) czy to prawda, te miljony! miljony?!

— Co? kochana panno ciwunówno?

— Ale ta sukcesja! bogactwo! Jezu Marjo! to bajka chyba! Pan się nic nie cieszysz?

— A z czegóżbym się tak nadzwyczajnie miał cieszyć?

Rotmistrz, który na to patrzał i słuchał tego, uspokoił się nieco, widząc jak mało wrażenia zbogacenie czyniło na Wacławie. Pozostało mu jednak nieco obawy, i czynił sobie uwagę, że pieniądze są jak trunek, który nie zaraz upaja.

Tymczasem wieczór zszedł najmilej w towarzystwie księdza Warela i Wacława. Byłato późna jesień, ale dzień nadzwyczaj ciepły, zastawiono więc stolik do podwieczorku w ganku, z którego dochodziły uszu odgłosy wiejskiego żywota, i owe zapachy jesieni właściwe, coto w nich czuć owoce, żniwo, chłodną rosę, liście więdnie-

jące i późnego siana woń miłą.

Frania wkrótce odzyskała wesołość swoję, i ufna spojrzała w przyszłość; nawet Brzozosia się rozchmurzyła, oczy tylko ciągle dziwnie wytrzeszczając na nowego bogacza, jakby w nim zmiany szukała koniecznej. Rotmistrz był jakoś smutny, bo choć wierzył Wacławowi, milej mu było oddawać córkę ze znacznym posagiem, niż magnatowi dziś szlachciankę niemajętną dla niego.

W Denderowie zaraz po odjeździe gości wszyscy się rozpierzchli, nikt tam z rodziny nie potrzebował nikogo; hrabina poszła dumać o pełznącej swej piękności i o kimś jeszcze, Sylwan o swem przyszłem ożenieniu, hrabia gryzł się zazdrością, Cesia roiła, że Wacława siłą wspomnienia i potęgą swych wejrzeń pociągnie. Zresztą nikt nie myślał zwierzać się drugiemu, każdy dźwigał swój ciężar, zgięty i smutny. Nie było w nich serca, nie było w nich czucia.

Cierpieli wszyscy, cierpieli! Hrabia wyrzucał sobie swój występek jak głupstwo, miotał się widząc stracone tysiączne korzyści, któreby mu była zapewniła cnota, łajał się i zżymał, ale po czasie, po czasie!

Sylwan i Cesia zarówno obiecywali sobie pociągnąć Wacława; ale po długim dość upływie czasu znaku życia nie dawszy, nagle dziś odezwać się nie było podobna; byłobyto odkryć rachubę, pokazać że nie serce ciągnęło ku niemu. Oboje nadto byli zręczni żeby tak począć sobie mieli; należało czekać, a oczekiwanie niecierpliwiło!... Cesia codzień bardziej brzydziła się Farurejem, i chciała z nim zerwać stanowczo, obawiała się tylko...

Taki był stan umysłów mieszkańców Denderowa, gdy się Wacław niespodzianie tu zjawił... Sylwan i Cesia spojrzeli i rzekli w duchu:

— Sam leci w sidła, tem lepiej!

Wacław uznał przyzwoitem odwiedzić stryja, pewien zresztą będąc teraz najlepszego przyjęcia: przyjechał jednak po dawnemu bryczką i ubogim zaprzęgiem, ubrany jak dawniej i bynajmniej nie zmieniony. Bogactwo nie zawróciło mu głowy, bo w szkole nieszczęścia nauczył się ceny ludzi, ceny pieniędzy i uczuć... Czuł się silniejszym teraz, ale ta siła przypadkowo rzucona mu od losu jak jałmużna, nie wzbijała go w pychę; czuł, że to nie był nabytek pracy, ale dar trafu — wygrana na wielkiej loterji świata, na której rzadko kto wygrywa!

Sylwan niby przypadkiem wyszedł na jego spotkanie. Cesia nie ustąpiła z okna; zobaczył ją z daleka. Hrabia przeszedł z nim zaraz do salonu, mając jednak tyle taktu, że go o nic nie spytał. Dopiero po półgodzinnej obojętnej rozmowie zaczęli mu winszować i do pytywać się wszyscy. Weszła i Cesia, wyświeżona, strojna zalotnym uśmiechem, z bukietem rezedy w ręku.

Wprzód nim weszła do salonu stała chwilę na progu, z ręką na klamce, z głową spuszczoną, myśląc co począć, jak mu się pokazać... Inną? — zmiana byłaby nadto widoczna i szybka. Podobną jak dawniej? — lecz czy to go przyciągnąć potrafi? Będę tąż samą i inną, odpowiedziała sobie cicho na własne pytanie, i prawdziwie chybaby nas wszystkich los na jakieś niepowodzenie niepojęte skazał, jeśli go nie potrafię rozmarzyć... odzyskać...

Wacław był całkiem wczorajszy, nic w nim nie

zdradzało zmiany położenia; z umiarkowaniem, z dawniejszą prawie bojaźliwością obchodził się z tymi, od których zawsze czuł się wyższym, a dziś i wedle świata większym był i potężniejszym. Ci wszyscy mieli dla niego teraz uśmiech uprzejmy, uścisk dłoni serdeczny, słówka grzeczne, nazwania czułe. Ścisnęło mu się serce na ten dowód słabości, dzieciństwa ludzkiego! Ale gdzież jest inaczej? gdzie zbogacony nagle nie postrzeże, że pieniądz nadał mu wartość nową, miejsce inne, znaczenie wyższe? Pieniądz cudzy, zapracowany przez kogo innego, i nie wiem jakiem prawem przychodzący niespodziewanie, niezasłużenie, daremno?

Hrabia, jakby w przeszłości nic sobie do wyrzucenia nie miał, starał się być miłym, wyraźnie prosił przebaczenia i zapomnienia; pokorny, cichy, uśmiechnięty, ledwie nie dobroduszny, dumę schował do kieszeni. Sylwan zmienił ton, sposób obchodzenia się zwykły, słuchał, raczył odpowiadać, pytał nawet. Hrabina z ukosa mierzyła probierczym wzrokiem tego Wacława, do którego przez długie lata nie wiem czy dwa słowa wyrzekła, prócz rozkazów i wymówek. Cesia była zbyt zręczną, żeby się z chętką gwałtowną podobania wydać miała; pojęła, że nagła zmiana byłaby złą rachubą, że jeśli co Wacława do niej pociągnąć może, to wspomnienie; wpadła więc śmiało, śmiejąc się szydersko i natarczywie naskakując przybyłego.

— A! witam pana! zawołała nareszcie.

Wacław ukłonił się milczący.

— Winszujemy! winszujemy! Ale powiedzże nam pan, ten amerykański wujaszek jest-li to rzeczywistość, czy tylko puf sąsiedzki?

— Dotąd, jeśli puf, to przynajmniej urzędowy —

odpowiedział Wacław z uśmiechem.

— I ilość tego spadku aż na miljony doprawdy się liczy?

Wszyscy radzi śmiałości Cesi, słuchali, nie śmiejąc wprzód tak drobnostkowie rozpytywać go sami.

— Prawdziwie nie wiem — rzekł sierota — likwidacja nie skończona; wiem tylko że mam ładny hotel w Paryżu, coś tam na banku (kilkadziesiąt akcyj), coś w rentach pięcio- i trzyfrankowych, które dziś dobrze idą, jakąś willę na wsi i dość papierów różnych kompanij.

— Cuda! cuda! — śmiejąc się zawołała Cesia — a pan to jakoś bierzesz tak naturalnie, zimno, jakby to nie było wcale dziwnem, romansowem, przerażającem, sennem...

— Ja to biorę — podchwycił Wacław — jako rzec prawie mi obojętną; przywykłem do ubóstwa, niewiele cenię to co posiędę. Będę niezależnym, przydam się może komu na co, i to w tym spadku najprzód cenię. Ale i bez niego miałbym dla siebie dosyć.

— Ale nie myślisz wynieść się do Paryża? — spytał Sylwan.

— A! nie! nie!— zawołał Wacław — nad wszystko kocham to ustronie, i żyćbym bez niego nie mógł; Francji nie cierpię, choć to ojczyzna mojej matki. Zostanę tutaj.

Obrócił się do Cesi:

— Wie pani, — rzekł — nadzwyczaj mnie cieszy, że mieć będę fortepiano Erard'a, które medal otrzymało na wystawie; jest ono w mojej sukcesji, i naprzód o przysłanie mi go napiszę. Pojmuje pani szczęście po siadania prawdziwego i najlepszego Erard'a?!

Na to naiwnie a z zapałem wyrzeczone dzieciństwo

wszyscy się rozśmieli. Cesia z politowaniem prawie na niego spojrzała.

— O! tak! tak! — dodał Wacław — z całej sukcesji najniecierpliwiej wyglądam mego Erard'a. Muszą mi go zaraz wyprawić przez Marsylję i Odessę.

— Ale gdzież je pan w Palniku postawi?

— To najmniejsza! Postawię u siebie w sypialnym pokoju. Chwalić się niem nie myślę, lubię muzykę dla siebie, nie dla popisu, szczęśliwym że się z nią nie będę zmuszony popisywać. Dla gości dosyć będzie obrzydliwego Knamm'a, oklepanego Bösendorfera, dla siebie w moim przybytku postawię Erard'a...

— Szczęśliwy! szczęśliwy! trzykroć i czterykroć szczęśliwy! — mruczała Cesia siadając przy nim. — Co chwila słyszę szczęśliwy... widzę żeś pan tak szczęśliwy, iż mu zapewne nic a nic nie braknie...

— Mogęż się skarżyć, spojrzawszy na to czem byłem wczoraj? — rzekł Wacław także ciszej.

Cesia zamilkła, ale rychło widząc ustępującego ojca i Sylwana, którzy cicho coś z sobą rozmawiając, ku gankowi ustępowali, a matkę zajętą książką, spytała Wacława:

— Prawdaż to co mówią, żeś pan przy miljonach znalazł zaraz i towarzyszkę do używania ich wspólnie?

Wymówiła te szydersko, złośliwie.

— Nie wiem o czem pani mówi — zimno odparł Wacław.

— Jakto? więc piękna Frania z Wulki jeszcze z panem nie jest zaręczona?

— Ze mną? panna Franciszka? ledwie się znamy — rzekł trochę zmieszany Wacław.

— Proszę! a tu takie plotki roznoszą, — dodała Ce-

sia. — Zawsze jednak broniłam pana i utrzymywałam, że to być nie może. Pan potrzebujesz kogoś coby go zrozumiał, pojął, ocenił — dodała z uczuciem, i szybko dokończyła kapryśnie — komu byś mógł zagrać choć wlazł-kotka. *A propos*, nie zapomniałeś pan grać przez te czasy?

— Nie, ale fortepianu u siebie nie mam jeszcze.

— Wszakże można wziąć jeden z naszych — żywo zawołała Cesia.

— Dziękuję pani; z Żytkowa od Gr... jużem sobie tymczasem zapisał wiedeński, ten postawię dla gości, a Erard'a u siebie przy łóżku.

— Jak pan swobodnie już tę swoję przyszłość nawet w drobnych szczegółach urządzasz! z nieznacznem westchnieniem mówiła hrabianka.

— Sądzę, że nie mamy sobie do wyrzucenia, i pani musisz marzyć podobnie, wszakże słowo już dane?

Cesia zarumieniła się.

— O! rok jeszcze cały mamy przed sobą, a rok to tak długi!

I nagle stała się sentymentalną; chciała go rozczulić, powąchała rezedy, położyła ją na stoliku tuż przed nim, niby dla poprawienia bransoletki, w istocie dlatego, by o niej zapomnieć i śledzić zdaleka, czy też nie zabierze jej Wacław. Ale on czytał dziś odczarowany w sercu i myśli wietrznicy, i choć go wdziękiem wspomnień młodości silnie pociągała, bronił się mężnie tej władzy, postanowiwszy nie poddawać.

Cesia wstała i poczęła chodzić po salonie.

— Nie zagrasz nam pan czego?

— O! chętnie! jeśli mi pani nie każesz wlazł-kotka.

— Nie, na ten raz uwalniam, mam nad panem li-

tość... Wlazł-kotek zostanie dla kogoś innego, dla kogoś, co tyle tylko umie, że się ledwie na nim pozna — dodała z przyciskiem. — A dla mnie... Chopin'a! Sprobuj pan, ja tak lubię ten marsz z jego sonaty, to jakby widzenie, jakby przeczucie śmierci!

— Pani lubisz Chopin'a? — spytał Wacław siadając do fortepianu — to coś nowego! Od jakże to dawna?

— Od czasu jakeś go nam pan zagrał tak ślicznie, raz ostatni! — nie zmieszana odpowiedziała idąc do szturmu. — Druga część tego marszu jak spiewna, jak mówiąca, jaka rzewna!...

— A! a! początek także, zdaje się z pod ziemi wychodzić! — unosząc się już zawołał Wacław.

— Ja wolę tę część drugą... Zdaje się że anioł ją śpiewa nad bladem ciałem zmarłego, unosząc się w powietrzu...

Ale Wacław już grał. Cesia chodziła po salonie, to na matkę, która z niejaką dumą śledziła jej kroki, to na ojca, który na nią także ciekawem rzucał okiem, spoglądając.

Lecz skończyła się pieśń pogrzebowa, umarły tony czarowne, i Wacław pod wrażeniem jakiejś smętnej myśli, która z duszy jego dobyła się, niewzruszony został przy fortepianie, z opadłemi rękoma, ze spuszczoną głową.

— Ktoby się tego domyślił — przerwała mu Cesia, zbliżając się do niego — ktoby się to domyślił, spojrzawszy na pana, żeś tak niedawno odziedziczył miljony... i fortepian Erard'a!

To mówiąc sparła się przy nim, i wzrok, którego znała potęgę, zimny, wyuczony, natężony umyślnie, wlepiła w podniesione jego oczy. Jakże nie miał za-

drżeć, gdy przez te oczy pierwsza miłość, przebudzenie, sen anielski, patrzały na niego, a z niemi słodkie wypitych goryczy wspomnienie, z niemi pamięć więzów skruszonych, czarnej a lubej przeszłości, ozłoconej młodemi dumami?

Oboje milczeli, milczeli i dwa czy trzy razy mignęły ich spojrzenia, spotkały się, unikały, wróciły ku sobie, aż Wacław rzekł cicho:

— Więc za rok dopiero?

— Co, za rok?

— Wesele pani? Muszę o tem wiedzieć, bom wcześnie zaproszony.

— Za rok, tak, za rok! — złośliwie odparła Cesia; za rok, lub prędzej może. Ale ja myślę, że pan mnie prowadzić nie będziesz do ołtarza, chyba odprowadzać?

— Wątpię! — rzekł sucho Wacław.

— O tej Frani mówią, że taka ładna, taka naiwna! — roześmiała się. — Jakto jej musi być do twarzy, gdy w fartuszku niosąc ziarno, drób' z ganku zwołuje...

— Wie pani! — oburzony zawołał Wacław — że istotnie ślicznie jej wśród tej sielanki, wśród kurek i gołębi...

— A! nareszcie wymogłam, żeś się pan przyznał. Więc śliczna! Otóżto lubię, to szczerze — dodała złośliwie, ale ze wzruszeniem. — Opiszże mi pan przyszłą kuzynkę.

— Tak daleko jeszcze myślą nie sięgnąłem...

— To może sercem! — szczebiotała hrabianka. — Ależ śliczna! wszak śliczna! — powtórzyła z przyciskiem. — Powiedzże mi pan, blondynka czy brunetka, słuszna czy mała?

— Pani to wie doskonale, bo ją musiałaś nieraz widzieć w kościele.

— Nie! nie! przepraszam, nie mam zwyczaju oglądać się za siebie. A zresztą, nie byłam tak ciekawa.

— Więc na cóżbym ją pani opisywał?

— Masz pan słuszność, nie warto!

Oboje zamilkli trochę znowu. Wacław od niechcenia decymami chodził po fortepianie; Cesia przeszła parę razy po salonie, i znów wróciła, naprzód wzrokiem, potem cała.

Wzięła bukiet rezedy ze stolika, ponosiła go chwilkę, zbliżyła się do fortepianu, i rzuciła go daleko na dekę, że się aż na ziemię stoczył. Wacław podniósł go i oddał jej z uśmiechem.

— Nie chcę go — odparła Cesia — rzuciłam umyślnie; rezeda mnie nudzi: mdły zapach, kwiatek niepozorny. Nie rozumiem dlaczego to sieją, dlaczego znoszą w ogrodzie i w salonie. A pan nie lubisz rezedy?

— Ja? — rzekł Wacław — lubiłem ją dawniej, dzisiaj...

— Dziś pan woli zapewne maki polne, asterki wiejskie i nogietki!! Cha! cha! — poczęła się śmiać do rozpuku, ale takim przymuszonym, nienaturalnym śmiechem.

— Być może.

Na tem zerwała się rozmowa, gdyż właśnie wpadł do salonu ścigający Wacława z Cielęcewiczem pan Maurycy Hołobok, który spieszył, jak powiadał wywrzeć swój wpływ na młodzieńca, i objąć nad nim przewodnictwo moralne — na korzyść listy prenumeratorów Trzytygodnika i Dwumiesięcznika...

Przywitawszy się ze wszystkiemi, literat pospieszył *odrekomendować się* (wyraz nie mój, ale własny pana Maurycego) hrabiemu Wacławowi, do którego przy-

ignął zaraz ze szczególną zawziętością, wsiadłszy natychmiast na oklepane stołeczne nowinki muzykalne, których za lep użył, i mówiąc o Rubinim, o Pascie, o koncertach, o sztuce, o ocenieniu jej, o Thalbergu, o Liszcie, a dalej potrochu o sobie, prenumeracie i swojem pismie....

Chodziło mu bardzo, żeby swem paplaniem wysokie o sobie dał wyobrażenie; opowiadał jak pił z Lisztem kiedy ze stolicy wyjeżdżał, jak za pan brat chodził z Rubinim, jak Henselt pomimo swej dumy bił czołem jego teorji muzykalnej i jemu, jak wzniosły obmyślał sztuki system filozoficzny; dalej nastąpiły kawałki o artyzmie, o egzekucji, o pustyni Dawida — i t. d., i t. d...

Wszystko to szybko, niezgrabnie, ale effektowie przesuwał przed milczącym Wacławem, spiesznie, gwałtownie, sądząc że go tą fanfaronadą oczaruje i olśni. Niestety! łatwo jest poznać farbowane lisy: fałsz widać przez pożyczane pióra, i byleś je żywiej potrącił, polecą garściami, a zresztą kto głupi z urodzenia, temu żadne naukowe smarowania po wierzchu na to kalectwo nie pomogą.

Tak i tu się stało; przecież literat-estetyk-wydawca nie zważał, że pożądanego celu nie dosięga, nie mogąc przypuścić, żeby admiracji nie wzbudził. Co chwila wpadał on na swe mniemane teorje, na swe pojęcia nowe, i prędko dodawał: — „Ale nie czas tu rozwijać pomysły *moje* (!): pracuję nad obrobieniem ich, będę miał zaszczyt u pana w domu“...

Lub:

— „Teorje, o których tu napomykam, myślę wkrótce obszerniej rozwinione rzucić na świat. Nie taję, że ich nowość i śmiem sobie pochlebiać oryginalność, musi

wywołać opozycją, krytykę, ale to los wszystkich śmiałych nowości (!!); jestem do tego przygotowany, wiem że cierń czeka zbolałą skroń moją“ !

Najpocieszniejszem było, że to, co ten jegomość podawał za tak oryginalne, za nowe, było oklepanym, wywłóczonym już po tysiącu dzieł i dzienników *trueismem*, jak to Anglicy zowią; ale niezmięszany Hołobok, mając wszystkich za takich bałamutów jak sam był, śmiało sobie ruszał dalej, pewien że wszystkich odurzy, zaczmuci, że się nikt na nim nie pozna, a ci co zrozumieją jego szarlatanerje, nie odważą się o nich wyrzec głośno, obawiając się Dwumiesięcznika i Trzytygodnika.

Wacław słuchał, zdziwiony tylko zuchwalstwem, wielomownością odurzony, nie mogąc pojąć co znaczy ten popis tak pracowity. Tymczasem każde jego słówko chwytał pan Maurycy, i usiłował je, by się przypochlebić, ukazać czemś wielkiem; ale i to mu się nie udawało, bo myśli prostych, jasnych i istotnie nowych Wacława pojąć nie był w stanie. Tego rodzaju ludziom błyskotki tylko i nowostki do serca, jasna prawda dla nich zbyt cicho i skromnie się pali.

Wszyscy byli utrudzeni Cielęcewiczem, który od godziny już głosił teorją swoję wśród salonu, i rozszerzał jej granice poza najistotniejsze społeczeństwa warunki; — gdy nowy gość przybył do towarzystwa.

Byłto stary Kurdesz wygolony świeżo, wyczupurzony, przy szabli, a pokorny, kłaniający się i sypiący grafem dobrodziejem, i ucałowaniem nóżek jak z worka. Na widok jego stary hrabia pobladł widocznie, był to bowiem dzień, w którym właśnie mógł zapowiedzieć odebranie kapitału, i na to się zanosiło z przybycia.

Przyjęto go naturalnie jako najpożądańszego sąsiada przyjaciela.

Przestrach starego Dendery zwiększył się jeszcze, gdy Kurdesz po herbacie, schyliwszy się niemal do kolan gospodarzowi, poprosił go na chwilkę rozmowy w osobności. Żywo przystał na to hrabia, łudząc się wśród grożącego niebezpieczeństwa nadzieją niewczesną w głowie jego mięszały się najdziksze pomysły, rozpaczał, to znowu roił nadzwyczajne jakieś posiłki; ale uśmiech zawiesiwszy na ustach, na czole spokój, okazując czułość i serdeczność niezmierną dla starca, poszedł z nim do sąsiedniego pokoju.

— Siadajże, siadaj, kochany stary mój sąsiedzie, — rzekł biorąc go w pół poufale — kto się tyle w życiu nadreptał, ma prawo odpocząć.

Na takie już słodycze zbierało się dłużnikowi, i rotmistrz tylko się skłonił pokornie, pogładził siwego wąsa, ale nie widać było, żeby go to do zbytku dotknęło, i tak począł:

— Ja hrabio mam maleńką prośbeczkę.

— Co każesz! co każesz, kochany, szanowny sąsiedzie.

— Nie tajno JW. hrabiemu — mówił rotmistrz — że mam córkę, którą dał Bóg do wzrostu dochować. Trafić się mogą ludzie, chciałbym ją za mąż wydać wprzód, nim oczy zamknę; potrzeba, żeby widziano co ma i mieć może: ludzie jesteśmy, taki to zawsze coś znaczy. Pewnie to różnicy JW. panu nie zrobi, gdy mi kapitalik mój w terminie łaskawie wypłacić zechcesz...

— Z duszy serca! — zawołał szybko hrabia, nie oka-

zując najmniejszego zdziwienia ani zmieszania — najchętniej, bardzo dobrze, dziękuję ci bardzo, że mi tak wcześnie mówisz, bo przy moich wielkich spekulacjach mogłeś mnie schwytać nieprzygotowanego.

To mówiąc, hrabia łykał ślinkę, ale się nie schmurzył, choć sam nie wiedział jak zapłaci.

— Bardzo będę wdzięczen — rzekł Kurdesz — bom właśnie zatargował wioskę i ułożyłem już przedugodne punkta.

— A! cieszę się bardzo! Jeśli wolno wiedzieć cóż to za wioska?

— To nie sekret, kupuję Ciemierniki.

— Ciemierniki! — rzekł głowę w górę podnosząc hrabia — Ciemierniki, od Farycewiczów? A! wiem! ale tam podobno jest wilk!

Szlachcic, którego najłatwiej było nastraszyć, zapytał żywo:

— Jakto? jakiż wilk?

— A! proces z Bogolubami o sukcessją, której na Farycewiczach dochodzą; coś zdaje mi się nakształt 9 do 10 tysięcy rubli.

— To rzecz wiadoma.

— Życzę się jednak pilnować — dodał hrabia odchodząc i dłubiąc w zębach — przytem, rzekł, Ciemierniki to glinka, góry, lasu mało i zniszczony, wody nic; a poczemuż dusza?

— Po pięćdziesiąt dukatów; mniej nie było można, majątki bardzo w górę poszły.

— To dosyć drogo, przytem na budowle, na forszusy dosyć będzie potrzeba.

— A! toć to wiemy panie — rzekł wzdychając rotmistrz.

— Nie jest to-zbyt korzystne kupno — począł powoli Dendera.

— Być może, ale to mi przyległe, a zresztą rzecz skończona.

— Skończona? no! to oczywiście pozostaje mi tylko powinszować, i nie ma co już mówić o tem. Ale dziś zakupować majątek, przed ostatecznym zregulowaniem inwentarzy, jestto narażać się na wyraźną stratę: majątki spaść muszą.

— Bóg to wie — powolnie rzekł szlachcic — Bóg to wie. Spadną zapewne, by więcej jeszcze pójść w górę.

— A przytem — mówił ciągle formą rady przyjacielskiej hrabia — dla córki, dla przyszłego zięcia, kto wie, możeby kapitalik był pożądańszy.

To mówiąc filuternie się uśmiechnął.

— A! a! powinienem panu powinszować córeczki, bo choć nie mam szczęścia jej znać, ale widzę, że to być musi i piękna i miła osóbka: wszakto i mojemu Sylwanowi tak głowę zawróciła, że mi spokoju nie dawał...

— Wielki to honor dla mojego domku — odparł szlachcic z ukłonem — ale to zwyczajnie fantazja pańska...

— Zdaje mi się, że to coś więcej nad fantazją.

— Za nizkie to progi dla syna hrabiego — mówił rotmistrz przerywając rozmowę i sprowadzając ją na interes. — Więc mogę się spodziewać?

— A jakże, jakże! — wybuchnął hrabia głośniej — zapłacę ci, zapłacę ci w terminie, bądź spokojny! Ja nawet sam chciałem posłać cię spytać, panie Kurdesz kochany, czy tych pieniędzy potrzebować nie będziesz. Właśnie bowiem zbieram wszystkie moje kapitały,

ściągam je i chcę w moich spekulacjach na przyszłość się ograniczyć. Konfiskata klucza Słomnickiego uczyniła mnie ostrożnym, potrzeba się ścisnąć. Zostawię dzieciom i tak piękną, czystą fortunę, wszystkim długi pospłacam, córka dziś nie potrzebuje posagu, idąc za tak bogatego człowieka, jak marszałek Farurej....

— Więc możemy powinszować? — kłaniając się spytał szlachcic.

— Dziękuję, dziękuję ci kochany rotmistrzu; i Sylwana też muszę ożenić, żeby się ustatkował: to szalona pałka... Dzięki Bogu — mówił rozgrzewając się coraz — wychodzę z moich spekulacyj zwycięzko! No! klucz Słomnicki stracony, boli mnie to; ale znacznie więcej przyrobiłem fortuny, którą zrealizowawszy, kupię zapewne dobra ziemskie, nie prędzej jednak, aż przełkniemy inwentarze... Tak, dziś kupować, byłoby płochością....

Mówił hrabia, a szlachcic uparcie milczał, niepokonany niczem. Napróżno go z różnych stron zaczepiał gospodarz — nie dał się ująć: wąsa motał, trzymał się grzecznie i pokornie, ale od swego nie cofał. Hrabia ani wiedział, zkąd te 200,000 weźmie; jednakże obiecywał uiścić się w terminie, zawsze mając nadzieję, albo się od wypłaty wykręcić, albo pieniędzy gdzieś pochwycić.,..

W kilka dni potem, Sylwan do interesów ojca się zbliżywszy, a swoich osobistych długów mając już po uszy, zawyrokował, że pora było myśleć o ożenieniu, i ruszył śmiało na polowanie posagowe. Pora zbyt była spóźniona, żeby do wód jechać: bogatsi już się porozjeżdżali do miast. Pożyczywszy więc kilkaset dukatów u Wacława, który po bratersku usłużył Sylwanowi, ubrawszy dwór swój w liberje świetne, powóz, konie i cały kawalerski swój porządek postawiwszy na najwyszukańszej stopie, ruszył do Warszawy, udając wołyńskiego magnata, po drodze sypiąc opisami swych tysiąców dusz, pałaców, przepychu do którego przywykł i świetnych familijnych związków.

Cesia pozostawszy w domu, innego rodzaju łowami zajętą była; usiłowała ku sobie pociągnąć Wacława, który od chwili jak tylko dojrzał jej zamiaru, ze wstrętem prawie począł od niej unikać. Nie czuł on odwagi i siły do boju, postanowił usunąć się od niego.

Palnik tak blizko był Wulki, że częściej u Kurdesza niż u siebie dnie spędzał nasz bohater, a życie tak mu się teraz wypłacało sowicie za doznane wprzódy boleści i troski! Tak błogie, spokojne szczęście świe-

ciło nad ich głowami, tak szybko płynęły chwile w towarzystwie księdza Warela, Kurdesza, Frani, a nawet Brzozosi, ożywiającej swą wielomównością, ciekawością i tysiącem śmiesznostek poważniejsze rozmowy, że bogacz zapominał o bogactwie, o świecie, i nie życzył tylko, by mu nic nie przerwało osnowy dzisiejszych dni jasnych.

Przywiązanie wzajemne obojga młodych ludzi nie uchodziło już niczyich oczu, tak było wyraźne, tak się z niem nie kryli. Kurdesz oczekiwał tylko formalnego oświadczenia, które Brzozosia z kabały wnosząc, uważała za bardzo blizkie.

Codzień prawie Wacław z Palnika przychodził z książkami, z małemi podarkami, z wesołą twarzą do Frani, w której pokoiku, u kominka, z Brzozosią i rotmistrzem dnie spędzali. Chociaż go w różne strony ciągniono, nie czuł potrzeby innego towarzystwa, nie spieszył nowych zawierać związków, bo dziś starano się o nie, a wczoraj jeszcze odpychano je prawie. Jakże nie miał podejrzywać ludzi o próżność i chciwość?

Całem zajęciem jego było ukształcenie Frani, uczynienie jej taką, jaką mieć pragnął. Szczęściem ona była jedną z tych istot uprzywilejowanych, którym Bóg dał serce wielkie i umysł silny, pojęcie bystre i jakby przeczucie wszystkiego co dobre, szlachetne i wzniosłe. Dla niej nauka była jakby czegoś śnionego, zapomnianego, łatwem przypomnieniem; a rzadko kto tak zdrowo i trafnie pojmował wszystko jak ona. Zdziwił się nieraz Wacław tej jasności sądu, której spodziewał się w niej, a przecież go zdumiewała. Zdawało się, że sercem i czuciem zgadywała wielkie prawdy, których wprzód czuła pragnienie i potrzebę. Zresztą jestli tak

drogiem to ukształcenie sztuczne, to wychowanie powierzchowne, którem błyszczą panienki nasze? Co Bóg raz posiał w duszy, jeśli się w piękny kwiat rozwinie, nie skrzywią pierwsze lata młodości, wieleżto braknąć ma człowiekowi, choćby nie miał poloru i nauki? Wolę wieśniaka z poczciwem sercem, z głową otwartą, niż pół-mędrka co nie ma serca, a głowę ciasną, napchaną ogryzkami strupieszałej nauki.

Umysł Frani tem potężniejszy, że rozwinięty bez męki, swobodnie, samoistnie, potężny z natury, był przygotowany do przyjęcia wszelkiego pokarmu najłatwiej, najchciwiej: serce mu pomagało. Jakkolwiek w rzeczach umysłu odmawiają sercu udziału, ileżto razy ten zaparty pomocnik, do którego się nikt nie przyznaje, kryjomo głowę i rozum podpiera, jak tajemnicza, cudowna siła, której dróg nikt nie zbadał, chodu nie dopatrzył, której nikt w twarz nie widział! Serce ma udział wszędzie i po dziele dopiero poznasz, że tam się wmieszało.

Jednego ranku, Wacław i Frania siedzieli w małej izdebce, ożywioną wiodąc z sobą rozmowę. Brzozosia odeszła była na chwilę z kluczykami, gdy młody człowiek wstał z miejsca trochę wzruszony, ale poważny, zbliżył się do rotmistrzównej i biorąc ją za rękę, zapytał:

— Panno Franciszko, wszak pozwolisz mi powiedzieć sobie wielkie i ważne jedno słowo?

Domyśliło się dziewczę, spuściło oczy, umilkło.

— Milczenie, zezwolenie — rzekł Wacław zatrzymując rękę — nie potrzebuję mówić coś mogła wyczytać z oczu moich i mowy: kocham cię, silnie, szczerze, na wieki, powiedz, czy chcesz być moją?

Frania tak się zakłopotała swem szczęściem, choć go się spodziewała oddawna, że spojrzeniem tylko i uściśnieniem dłoni mu odpowiedziała; gdy i ciekawa ciwunówna wpadła nagle, a poznawszy co się święci, jak oparzona cofnęła się nazad pod jakimś pozorem do sieni, powtarzając nieustannie:

— Chwała Bogu, oświadczył się! chwała Bogu! jak Boga kocham, oświadczył się! Otóż jak mówiłam tak się stało... stało się... oświadczył się...

Tak sypiąc wyrazami bez związku, ani się spostrzegłą jak nos w nos spotkała się ze starym, którego dość mocno w ramię uderzyła.

— Coto ci, panno ciwunówno? — spytał Kurdesz.

— A to pan! Już! już! — zawołała głos zniżając, ale tak jednak, że ją w całym domu słychać było — już! już! jak Boga kocham już!

— Co już?

— Oświadczył się.

— Kto? co? komu? o co?

— A! nie udawajże rotmistrzu, nie niecierpliw mnie; któż jeśli nie Wacław?

— Komu, pannie ciwunównie?

— Ale panie rotmistrzu, dajże mi pokój! Cóżto pleciesz! Frani! Frani! chodź! chodź!

I pociągnęła starego do pokoju za sobą co najrychlej, bojąc się jeszcze, by jej narzeczony nie uciekł.

Rotmistrz wszedł prawie przez nią wepchnięty, trochę sam niespokojny, szepcząc Zdrowaś Marja, które zwykł był pocichu i mentalnie we wszystkich ważniejszych życia okolicznościach odmawiać.

Zastał Franię u krosien schyloną, oblaną rumieńcem, ponsową i pomieszaną, Wacława przy niej roz-

rzewnionego, z uśmiechem na ustach i całującego podaną mu rękę. Ujrzawszy wchodzącego starca, Wacław się podniósł i postąpił ku niemu.

Brzozosia tylko głowę pokazawszy, bojąc się spłoszyć swą przytomnością formalne oświadczenie, usunęła się nazad i stanęła na warcie u dziurki od klucza.

— Szanowny rotmistrzu — odezwał się Wacław — pozwól mi dziś podziękować sobie za to zaufanie, z jakiem mnie do domu swojego przyjąłeś jak syna, nie obawiając się dozwolić mi starać o serce i przywiązanie swej córki, tego anioła waszej szczęśliwej strzechy. Dziś przyszła chwila stanowcza: proszę cię o jej rękę, z jej zezwoleniem.

— Niech Bóg błogosławi, niech Bóg błogosławi — płacząc rzewnie i wyciągając ręce zawołał rotmistrz — nie byłem ślepy, widziałem dawno, żeście się sobie podobali. Wola Boża, dla mnie starego wielkie to błogosławieństwo i nagroda... Ja cię kocham Wacławie, jak syna, ale... — Tu się zastanowił.

— Wszędzie jest jakieś ale, mój drogi chłopcze — kończył z westchnieniem stary. — Pomyśl, o pomyśl dobrze nad tem, co czynisz: młody, bardzo młody; pierwsze uczucie może przypadkowe masz za wieczne, a to dla ciebie dziś podobno niestosowna partja. Choć Bogu dzięki, szlachectwo nasze ledwie nie od wielu lepsze, choć imię uczciwe, choć i grosz się znajdzie; ale moja droga Frania prosta wiejska dzieweczka, a tyś hrabia, tyś miljonowy, ciebie inny świat pociągnąć musi.

— Mnie?

— Posłuchaj proszę, są to uwagi starej głowy, a otwartego dla was serca. Musisz się zbliżyć do swoich, a cóż ona tam pocznie? Chcesz, żeby jej urągali, by

się wiecznie paliła wstydem, nie znając ani obyczajów waszych, ani świata, ani mowy, ani języka.

— Ale ojcze kochany, jakiegoż towarzystwa Frania nie będzie ozdobą?

— Towarzystwa wedle Boga — rzekł szlachcic — to prawda, ale wedle świata, to rzecz inna; tam większy grzech nie umieć się ukłonić, niż bliźniego skrzywdzić; straszniejszy występek nie paplać po francuzku, niż przysięgę złamać. Przebaczają wszystko, prócz drobnostek w które obwijają się jak jedwabnik w nici swoje. W tamtym świecie Frania będzie obcą.

— Ale ja tego świata chętnie dla niej się wyrzeknę! — zawołał Wacław.

— Słuchaj i czekaj — przerwał Kurdesz — dziś dobrze ci tak mówić, ale co będzie potem?

— Miałżebyś mi nie wierzyć, rotmistrzu?

— Owszem, i kocham cię i wierzę ci, ale mojej drogiej Frani nie chciałbym dać tam, gdzie będzie niższą; ciężko mi na sercu, że ty ją bierzesz bogaty, możny... pan imieniem i rzeczą...

— Wołałżebyś mnie widzieć sierotą Wacławem?

— Nie kryję, że tobym wołał; miljony nie są rzeczą zbyt specjalną. Kto ma czysty, mierny mająteczek, a serce poczciwe, a głowę niezawróconą, temu te skarby są raczej kłopotem niż rozkoszą: pociągną go w świat fałszu, komedji, kuglarstwa i zepsucia.

— Ale mój kochany rotmistrzu, ja mówiłem i powtarzam, że tego świata nie chcę!

— Nie znając go! — przerwał Kurdesz — nie sztuka! Chcę właśnie, żebyś go poznał lepiej i wyrzekł się wiedząc co tracisz: toto licho złe, ale powabne. Chcę, żebyś przyszedł do mnie prosząc o Franię, pewien, że

tam cię nic nie znęci....

Wacław i Frania spojrzeli na siebie niespokojni.

— Takie moje pragnienie, myśl moja, rozkaz wreszcie, jeśli tu rozkazu potrzeba. Niech Wacław rok przynajmniej pożyje w tym świecie, wyprobuje swojego przywiązania, a potem chętnie was i radośnie połączę.

— Rok! rotmistrzu kochany, to wiek!

— Chwila, kochany Wacławie, jeden zasiew, jedno żniwo. Tymczasem i ja się do weseliska przybiorę; a jeśli wam tak smutno rozstać się na rok, chcecie, to się zaręczycie. Zresztą Wacław u nas bywać będzie i widywać się możecie; tylkobym chciał, żebyś się trochę w świat puścił.

Zamilkli młodzi smutnie. Rotmistrz czując, że ich strapił, a nie mogąc od swego ustąpić, począł się prawie wymawiać i nieledwie ich przepraszać.

— Pozwólcie — rzekł — na tę fantazyją starego, niech to tak będzie. Uchowaj Boże, chyba choroby na mnie; no, to przyśpieszym ślub wasz.

— Co ojcze mówisz! — z wyrzutem poczęła Frania.

— Zróbcie jak proszę — mówił stary — posłuchajcie.

— Dość mi, że taka wola rotmistrza — odezwał się Wacław, całując drżącą jego rękę — szemrać na to nie będę: nie taję, że rok ten wyda mi się w życiu najdłuższym, ale kiedy tak każesz...

— Mój drogi Wacławie — rzekł stary ściskając go — jestem przekonany, że to dla dobra waszego. Trzeba żebyś świat poznał, żebyś swe przywiązanie wzmocnił, lub jeśli się okaże fantazją tylko młodzieńczą, ognikiem — wola Boża! Wolę żeby Frania przecierpiała rok i drugi, niżeli życie całe.

Żądanie starca zdawało sie niezachwiane: musiano

zgodzić się na nie; ale Brzozosia, która w tej chwili weszła z trzaskiem, rzuciła nań okiem takiego gniewu, takiej wymówki, jakby go zjeść chciała, jakby go nienawidziła. Porwała tylko klucze ze stołu i wyszła tłumiąc w sobie urazę, do której się przyznać, nie wydając że pod drzwiami słuchała, nie mogła. Ale idąc mruczała pod nosem:

— Zawsze ten człowiek musi swoim rozumem i po swojemu coś zrobić, a zawsze nie do rzeczy. Rok każe im czekać! Ślicznie, dobrze, rozumnie, robi co może, żeby się to rozchwiało, kiedy tu łapać trzeba jak ptaszka! Ale kiedy się mnie w niczem nie radzą, nie słuchają: wola wasza, z Bogiem. Gub sobie dziecko, wszakto twoje.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

patrz stronica 140